Nr. 29 i 30. Kraków, wrzesień i październik 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1910 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Zbrodnia na Jasnej Górze.

Zbrodnia na Jasnej Górze wstrząsnęła silnie całem naszem społeczeństwem. Jasna Góra bowiem to nietylko sanctuarium ludu polskiego, który bieży do niej z ostatnich krańców Rzeczypospolitej, szukając ukojenia, pociechy, lub przebaczenia grzechów. Cały polski ogół wierzący podziela tę wiarę ludu w łaskę i opiekę Matki Bożej, której cudowny obraz znajduje się w murach Jasnej Góry. Nawet ci, co nie wierzą, schylają pokornie czoła przed tą świątynią ludu, przed tą „Panną Świętą, co jasnej broni Częstochowy“. Widzą w czci Jej oddawanej zarówno symbol wiary w Najwyższą sprawiedliwość, jak symbol jedności narodowej. Nie mogą zapomnieć, że kiedy cała Polska padła u stóp zwycięzcy, jedna Jasna Góra oparła się jego mocy i że z tej siedziby „Królowej Polski“ poszło po całej Rzeczypospolitej hasło obrony ojczyzny.

To wyjątkowe stanowisko Jasnej Góry nałało też wyjątkowe znaczenie zbrodni dokonanej w jej murach.

Pojmujemy wobec tego, że wiadomość o strasznym czynie przeraziła całe społeczeństwo. Każdy zrozumiał, że stała się wielka krzywda narodowi i jego świętościom. Krzywda ta byłaby lżejszą, łatwiejszą do przebolenia, gdybyśmy znajdowali się w lepszem położeniu. Ale stratowani, rozdarci, walczący wciąż o życie, otoczeni wrogami na wszystkie strony, niepospolitą zaś mikogo coby się za nami ujął, pozostawieni sami sobie, — całą swą nadzieję w lepszą przyszłość pokładamy w wytężeniu własnych sił ku dobru powszechnemu, za zachętą do tej pracy, a raczej jej gwiazdą przewodnią jest umiłowanie świętości narodowych.

Więc kiedy jedną z takich świętości okrutnie sprofanowano, kiedy tego czynu dokonał nie wróg, lecz stróż tych drogich dla narodu murów, zapanowała w części społeczeństwa trwoga i rozpacz, wypływająca z poczucia, że walą się nasze ołtarze. Trwoga i rozpacz — dwa najniebezpieczniejsze stany duszy, bo pierwsza osłabia energię, druga prowadzi do szaleństwa lub samobójstwa.

Tylko też bezmyślną trwogą wytłumaczyć można owo załamywanie rąk i wołanie: upadliśmy, zmarnieliśmy, już finis Poloniae! — tylko rozpacz mogła podyktować myśl, aby obraz jasnogórski przenieść do Krakowa.

Projektodawcy zapomnieli o sile tradycyi, nie zrozumieli, że wyrządzilibyśmy wrogom naszym największą przysługę, gdyby Jasna Góra przestała być relikwiją ludu polskiego. Za ich przyczyną dopiero zbrodnia Macocha stałaby się rzeczywistą, niczem niepowetowaną klęską narodową. Słuchając ich popełnilibyśmy i szaleństwo i samobójstwo.

Spokojnie patrząc na bolesny nad wyraz wypadek (bo spokój, jeżeli kiedy, to tu konieczny) uznając całą jego ohydę, pojmując wielką krzywdę wyrządzoną przez niego naszemu społeczeństwu, nie widzimy przecie dostatecznego powodu ani do trwogi ani do rozpaczy. Wypadek straszny — ale nie należy dopuszczać się przesady ani w ocenie jego źródła, ani w proroctwach o jego konsekwencyach.

Przyznając, że ohydna zbrodnia musiała wywrzeć piorunujące wrażenie przez to, że dopuścił się jej jeden ze stróżów Jasnej Góry, nie powinniśmy przecie zapomnieć o tem że niema na świecie ani takiej warstwy, ani takiego stanu, do którego jednostek nawet najdziksze instynkty nie znalazłyby przystępu. Czy i pomiędzy tymi co sądzą, wymierzają sprawiedliwość, ścigają z urzędu przestępstwa i zbrodnie, nie znaleźli się nigdy przestępcy i zbrodniarze? Czy pomiędzy tymi, co walczą za świętą sprawę, w obronie ojczyzny, nie spotykaliśmy największych zdrajców? Czy historja nam nie wskazuje, że najwięksi odszczepieńcy, twórcy sekt, byli sługami kościoła? Prawda, że to były rzadkie wyjątki, ale były, są i będą. I czy wobec tego można być tak naiwnym, aby sądzić, że dość włożyć suknię zakonną, aby człowiek z ukrytemi zbrodniczymi instynktami wyzuł się z nich zupełnie?

Jeżeli za czyn zbrodniczy zakonnika odpowiadać ma zakon, jeżeli z powodu Macocha ma się usunąć Paulinów z Jasnej Góry, to bądźmy konsekwentni i znieśmy sądy, kiedy już nieraz sędziowie lub prokuratorzy okazali się złodziejami lub mordercami, znieśmy wojsko, skoro z łona swego niejednokrotnie wydało niejednego szpiega i zdrajcę. Ba! znieśmy i Kościół katolicki, boć z niego wyszli Focjusze, Lutrzy — z niego też wyszedł nikczemny Siemiaszko, co z bandą takich samych jak on łotrów (też byłych księży katolickich) lud polski pod knutem i bagnetem do schizmy prowadził.

Inna rzecz, że w częstochowskim konwencie Paulinów niedobrze się działo. Wprawdzie choćby się nawet i najlepiej działo, mógłby się w nim znaleźć Macoch (wszak Judasz znalazł się między 12 apostołami), — ale zbrodnia Macocha wykryła, że rządy długoletniego przeora O. Rejmana wprowadziły rozprzężenie, pobłażliwy brakowi ducha zakonnego u kilku jednostek, ba! że nawet właśnie te jednostki powoływały do wybitnego współudziału w zarządzie klasztorem. Ryzykowną rzeczą byłoby twierdzić, że rządy te wychowały Macocha, że gdyby nie one nie byłoby zbrodni, ale nie ulega wątpliwości, że sprzyjały one (oczywiście bez zdania sobie z tego sprawy) wzrostowi tych dzikich instynktów, które do tak strasznej doprowadziły katastrofy.

Zarzut ten w pewnej części łagodzą smutne stosunki, w jakich klasztor jasnogórski pozostawał i pozostaje z winy rządu rosyjskiego. Po zniesieniu klasztorów w r. 1864 w pięciu tylko klasztorach w całem Królestwie pozostawiono zakonników do wymarcia. Klasztorowi jasnogórskiemu zostawiono (czy też później udzielono, bo dokładnie nie pamiętamy) wyjątkowy przywilej nowicjatu,— ustępstwo to uczyniono naprzód dla niedraźnienia mas ludowych, z którymi rząd kokietował i na których w swoim czasie pragnął się oprzeć w walce wydanej szlachcie, mieszczaństwu i inteligencji, a potwórze może ze względu, że i cerkiew prawosławna oddaje cześć Matce Boskiej Częstochowskiej. Ale ustępstwo to ograniczono nadaniem władzy gubernatorom i ministerstwu wyznań zatwierdzania kandydatów. Stąd też nigdy nie był wypełniony etat zakonników na Jasnej Górze, a przywdzianie sukni paulińskiej połączone było z niezmiernemi trudnościami. Natomiast łatwiej mogli do klasztoru dostać się ludzie bez kwalifikacji, tacy pisarze gminni jak Macoch. Podnoszą się nawet w dziennikarstwie głosy, że zbrodniarz umyślnie został wprowadzony do klasztoru, aby dopuścił się jego profanacji — głosy te jednak uważamy za wysoko fantazji ...

Nie fantazją jednak była protekcja, jaką rząd otaczał osobę ks. Rejmana. Wbrew przepisom pozwolił mu długie lata, bez powtórnego wyboru, zarządzać klasztorem. Rządy te wywołały opozycję w gronie zakonników pragnących przywrócenia karności klasztornej, czego dowodem było, że kiedy władza kościelna mogła wreszcie zmusić do wyboru przeora przed 3 laty, O. Rejman uzyskał tylko jeden głos większości, a przy wyborze w r. b. został pozbawiony swej godności na rzecz zacnego, duchem prawdziwie zakonnym przejętego O. Justyna Wełońskiego. Wyboru tego jednak rząd nie uznał i kazał O. Rejmanowi dalej wykonywać obowiązki przeora.

Trzeba przyznać, że O. Rejman nie poddał się rozkazowi. Może zrozumiał, że byłby uzurpatorem, może liczył się z Rzymem, a może wiedział, że nie znajdzie posłuszeństwa. Bądź co bądź sympatja, jaką się cieszył u rządu, chociaż (czemu wierzymy) nie miała ona głębszego podkładu, wpływała na pewną bezkarność złych żywiołów, które niestety znajdowały poparcie u przeora. Są zresztą dowody (znany memorjał jen. gubernatora), że rząd wiedział o rozprzężeniu panującem w klasztorze, ale go to stanowczo nie nie obchodziło, a raczej cieszyło.

O. Rejman oprócz rządu miał za sobą i „opinię“, to jest prasę warszawską. Zjednał ją sobie nietylko niezaprzeczonemi zasługami koło zewnętrznego uporządkowania klasztoru, ale wrodzoną umiejętnością zdobywania sobie popularności i obcowania z ludźmi świeckimi. Reporterja (bo tą, z małym wyjątkiem, rządzi prasą warszawską) nie miała dość słów zachwytu dla ojca przeora. Na lep jej szumnych pochwał poszły i pisma ilustrowane, które nie omijały częstej sposobności portretowania O. Rejmana. Jeszcze przed kilku miesiącami najwięksa ilustracja umieściła jego wielki portret na czele numeru — zaszczyt ten w ostatnich latach nie spotkał nikogo z ludzi wielkiego talentu lub wielkich zasług, nawet po ich śmierci, nie spotkał też żadnego z biskupów polskich. Ale bo też „ojca generała“ reporterja przyzwyczaiła uważać nieomal za polskiego papieża.

Do jakiego stopnia doszło to bałamucenie opinji przez „drukowaną“ opinję, widzieliśmy po wyborze przeorem O. Wełońskiego.

Prawie cała prasa polska wyrażała głośno oburzenie, że ojcowie Paulini ośmielili się wybrać kogo innego, niż ojca Rejmana. Uważała to za oszczyt niewdzięczności, za karygodne kopnięcie niespotykanych zasług, za niską intrygę „niedołężnych zakonów“ pragnących usunąć największą gwiazdę zakonu. Nawet niektóre nasze galicyjskie dzienniki przyłączyły się do tego chóru oburzenia, — one, które mają takie pojęcie o sprawach Królestwa, jak o sprawach Portugalji, co do których również wydają swe kategoryczne orzeczenia na podstawie tego, co im przynoszą niemieckie pśmidła.

Nawet zbrodnia nie otworzyła oczu zaślepionym, czego dowodem, że jeden z najpoważniejszych dzienników warszawskich rzucił się z całą bezwzględnością na odezwę OO. Paulinów za to, że wskazali w niej na długoletnie rozluźnienie panujące w klasztorze i że zaznaczyli swoje starania w kierunku wprowadzenia na nowo ducha zakonnego. W odezwie tej widziano wystąpienie przeciw O. Rejmanowi, a więc schłostano publicznie jak żaków tych zakonników, co ośmielili się wypowiedzieć smutną prawdę o rządach „wielkiego przeora“.

Zbrodnia częstochowska, powtarzamy, to straszny wypadek, ale żaden stan nie ma przywileju na posiadanie w swem gronie samych ludzi uczciwych, każdy jest narażony na to, że może wyrość wśród niego chwast przestępstwa, lub zbrodni. Czy i o ile rozluźnienie obyczajów klasztornych na Jasnej Górze przyczyniło się do strasznej katastrofy,

czy i o ile człowiek taki jak Macoch, pod wpływem dyscypliny zakonnej mógłby poskromić swe dzikie instynkty — to rzecz niewyjaśniona. To pewne jednak, że rozluźnienie zakonne sprzyjało jego zbrodniczym zamiarom, a winę tego rozluźnienia ponosi zarówno rząd rosyjski, i były przeor Paulinów, jak i „opinja“, która nadzwyczajnemi swemi względami darząc ojca Rejmana przyczyniła się do zatajenia przed społeczeństwem bolesnej prawdy, jaką wykryła zbrodnia Macocha.

Winno wreszcie i samo społeczeństwo, bo wieczenie daje się okłamywać niesknupulatnej prasie, bo nie wyrabia samo sobie zdrowego o rzeczach i ludziach sądu, lecz owocym pędem biegnie za jej miniemanymi „przewodnikami opinji“. Ztąd błaga, zewnętrzna pozłota zawsze znajduje uznanie i hymny pochwalne — o cichej, zbożnej pracy, o rzetelnej zasłudze ogół albo nie wie, albo nie ma do niej zaufania. Hałaśliwa reklama tryumfuje zarówno w literaturze, jak w sztuce, w życiu społecznem, jak w polityce, w handlu, jak w przemyśle, nawet w filantropji i (o czem świeżo przekonaliśmy się) za kratami klasztorów.

To też prawdziwą ironją losu jest fakt, że na klasztor jasnogórski spadł straszny grom w tej właśnie chwili, kiedy żywioły zdrowe wzięły w nim górę i kiedy Macocha i jego przyjaciół zmuszono do ustąpienia z klasztoru. (Jak wiadomo jeszcze przed wykryciem zbrodni Macocha, Starszewski i Oleśnicki otrzymali przyjęcie do dyecezji warszawskiej, a więc zakon mieli opuścić. Zawiadomienie o tem jednak przybyło już po wykryciu zbrodni).

Zwycięstwo tych żywiołów jest pomyślną zapowiedzią. Bądź co bądź wiosną się prąd świeżego powietrza w zatęchłą ciemnicę.

Z faktu tego płynie poważna pociecha. Jest on zapowiedzią odrodzenia się zakonu, który, nie zapomniajmy o tem nigdy, wydał Kordeckiego i szereg innych mężów, mniej niż on wielkich, ale dobrze zasłużonych ojczyźnie.

Stała się krzywda narodowi, ale to jeszcze nie powód do rozpaczy. Niema społeczeństwa, na którego białej szacie nikczemne jednostki nie pozostawiłyby plam krwawych. Społeczeństwo za to odpowiadać nie może.

Zwracamy jeszcze uwagę na rzecz charakterystyczną. Kiedy między nami z wielu stron zawołano: co za hańba na nas spada! — obce, najbardziej nam wrogie dziennikarstwo, fakt zbrodni przyjęło obojętnie i nie pociągnęło za nią do odpowiedzialności naszego narodu. Mamyż my być gorszymi dla siebie sędziami, niż nasi wrogowie?

Rozpaczy ohwyta się tylko umysłów słabych — umysły silne trzeźwo oceniają największą nawet katastrofę, a choć bolejąnad nią, nie ustają w pracy, aby zmienić warunki, wśród których zdarzyć się ona mogła. To jest prawdziwie męskie stanowisko — jęki i rozpaczliwe zawodzenia nic tu nie pomogą.

K. B.

---

†

Marja Konopnicka.

Szczupłe łamy naszego wydawnictwa nie pozwalają nam na umieszczenie kroniki żałobnej i oddawanie czci pośmiertnej zasłużonym dla społeczeństwa na różnych polach jednostkom. Cześć tą staramy się wyrazić w inny sposób, jak to niedawno np. uczyniliśmy, wysyłając telegram do Grodna po śmierci wielkiej pisarki i obywatelki Orzeszkowej.

Dziś jednak musimy uczynić wyjątek, bo Straż Polska obowiązana jest spłacić choć część długu, jaki zaciągnęła wobec pamięci największej poetki naszych czasów Marji Konopnickiej.

Konopnicka zaraz po zawiązaniu naszej instytucji szczerze się nią zajęła. Była obecną na pierwszym naszym wiecu, urządzonym w rocznicę Racławic d. 4 kwietnia 1908 r. — a po wiecu tym dziękowała nam za sprawionąJej „radość“, za nasze „uczciwe zamiary“ złączenia ludzi wszelkich obozów przy warsztacie pracy dla dobra narodu. W tym też dniu, aby dać dowód niekłamanej dla zadań naszych sympatji, zapisała się do grona członków Straży Polskiej.

Na tem jeszcze nie poprzestała. Wkrótce po założeniu naszego organu otrzymaliśmy od niej wspaniałą, dla nas napisaną „Deklarację“. Prócz tego umieściliśmy na szpaltach naszych kilka jej utworów poetycznych, płomiennych miłością do narodu.

Więc też zaznaczamy na tem miejscu nietylko niepowetowaną stratę, jaką poniósł nasz naród przez śmierć wielkiej mistrzyni słowa, jedynej rzec można prawej spadkobierczyni trójcy największych poetów naszych, wielkiej miłośniczki ludu i wyznawczyni wzniosłych ideałów narodowych — ale też i stratę, jaką poniosła nasza instytucja przez ubytek Tej, której posiadanie w naszem gronie było dla nas oblubą i zachętą do pracy.

Wyrazem naszych uczuć było również nabożeństwo żałobne, jakie urządziliśmy za spokój Jej duszy, a na które zaprosiliśmy czcicieli wielkiej poetki.

Jubileusz Konopnickiej.

Po śmierci Konopnickiej przypomniano w pismach jej jubileusz, a nawet w jednym z dzienników obszernie podano opis jej „największego tryumfu publicznego“, którego „widownią“ był... Lwów.

Nie przypuszczamy, aby śmieszna rywalizacya Lwowa z Krakowem była powodem tej „niedokładności“, sądzimy raczej, że wpłynął na nią brak pamięci u autora opisu.

Tryumf ów bowiem, czyli 25 letni jubileusz Konopnickiej odbył się d. 19. października 1902 r. w Krakowie. Nie był to jubileusz urządzony przez Kraków, lecz przez komitety zawiązane w całej Polsce, a mianowicie przez komitety: krakowski, lwowski, poznański, warszawski i górnośląski. Z narady tych komitetów wypadło, że Kraków jest miejscem najodpowiedniejszem, nietylko dla swego wyjątkowego stanowiska, ale i dlatego, że jest punktem poniekąd środkowym. Więcej środkowym byłaby wprawdzie Warszawa, ale w niej o urządzeniu jubileuszu ogólno polskiego marzyć nie było można. Z tego powodu wszystkie komitety zgodziły się oddać kierownictwo sprawy komitetowi krakowskiemu, który miał zwoływać posiedzenia delegatów wszystkich komitetów i do ich uchwał się stosować. O tem postanowieniu zawiadomiła komitet lwowski jego przewodnicząca w d. 3. lipca zaznaczając, „że na obchód główny w Krakowie zjechać się mają przedstawiciele całej Polski“. Komitet lwowski tylko zastrzegł sobie, że po ogólnym jubileuszu w Krakowie zaprosi do Lwowa Konopnicką i urządzi dla niej uroczyste przyjęcie.

I tak się też stało. Ostatnie posiedzenie delegatów wszystkich komitetów odbyło się w Zakopanem 16. sierpnia. Po uchwaleniu ostatecznie zasadniczych punktów programu, pozostawiono obmyślenie i wykonanie jego szczegółów komitetowi krakowskiemu.

Nie będziemy opisywali szczegółowo przebiegu jubileuszu, bo ciekawy czytelnik może znaleźć jego opis w ówczesnych, dziennikach, — da charakterystyki jego jednak, musimy podać szkielet obchodu, tem więcej, że wspaniałością zewnętrzną i ogromnym udziałem publiczności i ludu przeszedł on wszystkie nasze jubileusze literackie. Wyjątkiem jedynym był może jubileusz Kraszewskiego, połączony z otwarciem odrestaurowanych Sukiennic, który zamienił się w wielką manifestację patryotyczną: był to pierwszy po r. 1863 tłumny zjazd obywateli ze wszystkich stron Polski. Jubileusz Konopnickiej natomiast miał osobę oddaniu hołdu poezji polskiej w osobie najwybitniejszej z żyjących jej przedstawicielek.

Jubileusz zaczął się 18. października uroczystem przedstawieniem w teatrze. Składało się ono z dwu uczeńczonych nowel Konopnickiej i deklamacji jej utworów. Po teatrze wydało Koło art. literackie raut na cześć jubilatki.

Nazajutrz po nabożeństwie w kościele Mariackim odbył się główny akt obchodu w przepełnionej zbitym tłumem sali Sokoła. Rozpoczął go

---

Bóg wie kto

(R. 1868).

(Dokończenie).

Wtem — u bocznego stolika zagrzmiało, runęło, jakby się trąba nad gruzami zburzonego Jeruzalem rozległa.

To Czernisia nos utarła. A potem, przez chwilę jeszcze, wielką chustą, łzy po twarzy ciekące, ocierała.

Ahy zasiadaniem do stołu przerwy długiej w robocie nie sprowadzać, śniadanie do różowego pokoiku przyniesić kazałam. Na późny obiad, to już do sali jadalnej pójdziemy, ale teraz, byle jak, byle co, byle czasu tracić jaknajmniej! Co za szkoda, mój Boże, że człowiek, gdy ma coś lepszego i milszego do roboty bez jedzenia się obejść nie może! Niech tam w sali jadalnej panowie dziś sami jedzą, a my tutaj, prędzutko. Panom dziś tutaj przychodzić nie wolno, bo swymi żartami, wiecznem swojem sprzeczaniem się — tylko by przeszkadzali.

Przyszli jednak. Trzech domowych było i czwarty gość. W przerwie śniadaniowej przyszli, gdy Oktunia, bezkresny tren amazonki swojej podniósłszy, do salonu przyległego wybiegła, przy fortepianie usiadła i silnym sopranem na cały dom zaśpiewała: „Rachelo, kiedy Pan, w dobroci niepojęty“...

Gwar powstał, panowie weszli i śpiewaczkę otoczyli, proszą, aby jeszcze co zaśpiewała. Więc nastąpiły „Les adieux“ Szuberta i „Bywaj dziewczę zdrowe. Ojczyzna mię woła“.

A czas uciekał.

— Oktuniu, dość śpiewania! szyć trzeba!

Zerwała się od fortepianu, w trenie amazonki zaplątawszy się, o mało nie upadła, lecz zwinna, jak sarna, z więzów się wywinęła, i krzesła swego dopadłszy, już szyje, szyje. A my panów nietylko z różowego pokoju, ale wogóle z pobliża swego wydalić usiłujemy. Niech sobie na drugi koniec domu idą, niech nam co prędzej z oczu schodzą, niech nam nie przeszkadzają.

Oktunia ani na mgnienie oka szyć nie przestaje, pełnym głosem, na nutę „Rachelo, kiedy Pan“ śpiewa:

— Niech dają nam święcę — ty — pocoo — kój!

Nie chcą zrazu odchodzić, opierają się, proszą, nż nakoniec ogłuszeni zakrzyczani, oddalają się, a w różowym pokoju, znowu milczenie, szycie, ręce to podnoszą się, to opadają, czasem stalowa iskra na staniku lub w splotach włosów błyśnie, czasem nożyce zazgrzytają.

Bo Wincusia i Czernisia bez przestanku krują i krują; pierwsza raźnie i szybko, druga — różową ścianę wciąż długą, czarną kr są przerzynając, rozważnie, uroczyście.

Wtem turkot kół na dziedzińcu. Ktoś przyjechał. Tosia zarumieniła się, Ince igła z palców wypadła.

— Może wesoły Oleś! — żartujemy z pierwszej.

— Może p. Gustaw! — drażnimy się z drugą.

Ale że nie wcale, oprócz niewyraźnych w oddali głosów i kroków dosłyszeć niepodobna, więc Inka podnosi na nas oczy i z najsłodszą swoją minką proponuje

— Pójdę, dowiem się kto przyjechał.

— Owszem prosimy. — Wybiegła i rychło, z greckim noskiem na kwintę spuszczonym, powraca.

— Pan Burakiewicz przyjechał — mówi.

—No, kiedy pan Burakiewicz, to nic wcale nas ta wizyta nie obchodzi. Z widzenia go tylko znamy i to — rzadkiego. Sąsiad, ładny majątek w pobliżu ma, ale panują jakieś tam przeciwko niemu uprzedzenia. Ważne to, że, niezbyt dawno w strony te przybyły, krewnych ani dawnych znajomych tu nie ma. Oboy i — Bóg wie kto. Ale ważniejsze jeszcze, że towarzyska strona jego niezmiernie wiele podobno do życzenia pozostawia. Elegantem podobno chce być i raz do kościoła przyjechał tak obficie jakiemiś okropnemi perfumami oblany, że pewna sąsiadka nasza, osoba słabowita i wielce trefna, zemdlała i z ławki kościelnej spadła, a modlący się gdzieś w pobliżu marszałek Boniecki tak się rozkichał, że aż mu nos nieco spuchł. Napoleona III-go stale podobno nazywał Bonapart, na istnienie końcowego e w tem nazwisku na żaden sposób zgodzić się nie chcąc i często-gęsto do mowy swej dyabła mieszał, jak to: pal go dyabli! niech go dyabli porwą! dyabli wiedzą, co to znaczy etc. I „szelmę“ także mieszał. Ktoś słyszał go mówiącego: „dyabli wiedzą, co ten szelma Bonapart dla nas za: pazuchą swoją chowa“ a raz zapytany, jak mu się jakaś panna podoba, odpowiedział: „śliczna szelma, jak sto dyabłów“!

Człek tedy niewykształcony i nieuobyczajony prostak. Ekonomski syn podobno czy coś podobnego. Bóg wie kto Ale myśmy o tem wszystkiem ze słyszenia wiedziały. Z interesami tu i ówdzie przyjeżdżał czasem, lecz tylko przez gospodarzy domu przyjmowany, gospodyniom ich nigdy przedstawianym nie bywał. N'étant pas présentable, do towarzystwa nie należał. Ale też można było

polonez odegrany pod batutą Żeleńskiego i chór, który odśpiewał jubileuszową kantatę J. Galla do słów Jerzego Żuławskiego. Przemawiali: prezes komitetu jubileuszowego K. Bartoszewicz, prezydent miasta Friedlein, p. of. Kazimierz Morawski w imieniu Akademii umiejętności, prof. Tretiak w imieniu uniwersytetu Jagiellońskiego i p. Materinowa wysłanniczka czeskich kobiet. Po tych przemówieniach składały jubilatce dary i adresy deputacye: Warszawy, młodzieży uniwersytetu i politechniki warszawskiej, dzieci warszawskich, prasy perjodycznej warszawskiej. Litwy, Ukrainy, Zaporoża, Łodzi, Kalisza, Lublina. Z kolei stanęły przed jubilatką cztery deputacje poznańskie i dwie górnośląskie. Dalej szły: delegacje kolonji polskiej w Berlinie, emigracji (z Rapperswylu), młodzieży Batignolskiej, kilka delegacyj lwowskich, deputacje rad powiatowych, miast galicyjskich, ludu wiejskiego, górali z Poronina i t. d. Najliczniej zwiedzenie wystąpiły delegacje instytucyj i stowarzyszeń krakowskich — było ich kilkadziesiąt. Niektóre delegacje nie poprzestawały na oddawaniu darów i adresów, lecz w krótkich słowach wyrażały swój hołd jubilatce.

Nastąpiło wspaniałe przemówienie jubilatki, poczem chór mieszany odśpiewał kilka pieśni Konopnickiej z muzyką Zygmunta Noskowskiego.

Przedstawienia w teatrach i uczta w sali hotelu Saskiego wypełniły resztę programu. Na uczcie przemawiali: K. Bartoszewicz, Rose z Berlina, Rabski z Warszawy, poseł Mizerski z Poznania, poseł Wójcik, poseł Petelenz, Mien tłumacz Konopnickiej, Wład. Kozłowski, Natanson z Warszawy, Wojnar i t. d. Odczytano setkę telegramów, między innemi od Sienkiewicza, Orzeszkowej, Zyg. Miłkowskiego i t. d. Konopnicka improwizowała.

Jeszcze kilka dni pozostała Konopnicka w Krakowie wciąż przyjmując hołdy od osób i instytucyj. Była obecną w tym czasie na zebraniu przybyłych na jej jubileusz delegatów w Tow. strzeleckim i na wieczorze urządzonym na jej cześć przez młodzież szkół średnich w sali Sokoła.

Po kilku dniach pobytu w Krakowie odjechała jubilatka do Lwowa, gdzie ją uroczyście podejmowano. Przyjęcie to było piękną manifestacją czci dla poetki, było można powiedzieć dalszym ciągiem, uzupełnieniem jubileuszu, ale nie samym ogólno polskim jubileuszem, który odbył się w Krakowie za zgodą reprezentantów wszystkich dzielnic.

Jaki charakter miał jubileusz krakowski najlepiej świadczą przemówienia prezesa komitetu i odpowiedź jubilatki na hołd jej złożony. Dlatego też podajemy je w całości, tem więcej, że pierwsze z nich nie było w całości drukowane, a tylko mylnie w dziennikach streszczone, odpowiedź zaś Konopnickiej wskazuje z jakiem uczuciem przyjmowała ona „odpłatę" za pracę swego życia.

Przemówienie prezesa Komitetu.

Dostojna pani! W imieniu komitetu, który się zajął urządzeniem Twego jubileuszu, składam Ci najserdeczniejsze dzięki za to, że uczyniłaś zadość naszym najgorętszym pragnieniom, i stanęłaś wśród nas w chwili uroczystej zarówno dla Ciebie, jak i dla tych wszystkich, dla których dzień dzisiejszy jest świętem poezji narodowej.

Poezja, ten najcudniejszy kwiat umysłowej twórczości, stanowi sławę i chlubę każdego narodu, dlatego też otacza ją cześć i wdzięczność całych społeczeństw.

Do tej wdzięczności poezja nasza ma prawo wyjątkowe.

Odkąd ulegliśmy brutalnej przemocy, stała się ona potężnym czynnikiem naszego życia i odrodzenia. Karmicielka całych pokoleń, pocieszycielka w chwilach bólu i zwątpienia, apostołka miłości i jedności narodowej — od stu lat blisko jest dla nas jedną z gwiazd przewodnich wśród strasznej, ciemnej nocy niewoli. Przedzierała się jak światło do lochów więziennych, ogrzewała serca wygnańców pod mroźnem niebem Sybiru, bywała to gołębicą dobre wieści niosącą, to balsamem na rany, to strózem i sędzią sumienia narodowego. Pieściła i karciła, wyzwała do pokuty i niosła nagrodę szlachetnym czynom, błogosławiła na bój i kładła swe białe, czyste dłonie na czoła znęczonych trudem walki. Naród nasz złożył w swej poezji całą duszę — jest ona odbiciem wszystkich jego tak rzadkich chwil promiennych i wszystkich tak częstych niestety dni klęsk i niepowodzeń.

Pieśń polska ukochała namiętnie swój naród — i wdzięczny naród pieśń swoją ukochał.

Więc ile razy nadejdzie jej święto, wszystkie dusze wierzące i miłujące wiążą się w bratnie koło, aby razem i zgodnie obchodzić tę chwilę uroczystą.

Dzień dzisiejszy jest takiem świętem.

Społeczeństwo nasze, Dostojna Pani, odczuło obowiązek uczczenia 25-letniej Twej pracy, bo widzi ono w Tobie prawowitą spadkobierczynię największych wieszczów naszych, — bo jesteś, jak się wyraził wielki mistrz słowa: „ptakiem szerokoskrzydłym, — drzewem, które wysoko wystrzeliło w rodzinnym lesie, — sławą wielką i jasną, pieśniarką duchem i mową władną".

Lutnia, którą odziedziczyłaś, w rękach Twoich brzmi całą pełnią tonów. Umiesz na niej śpiewać i płakać, umiesz nucić jak szara ptaszyna i grzmieć głosem piorunowym.

Owładnęłaś mistrzostwem formy, stałaś się panią, władczynią wszystkich skarbów naszego języka.

Za to ci cześć i chwała, — ale jeszcze nie prawo do miłości.

Prawo to zdobyłaś sercem swojem.

W początkach swej twórczości złożyłaś przyrzeczenie:

Ja będę latać, jako ptak zraniony
Nikt, nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miliony!

I dotrzymałaś tego przyrzeczenia. Pieśń Twa obejmowała z miłością w ramiona miliony biednych, opuszczonych, upośledzonych. A tylko wielkie serce do takich miłości jest zdolne — do serc małych nie dochodzą jęki nieszczęśliwych, obojętną im jest ciężka walka wydziedziczonych o kawał chleba, o promyk szczęścia, o prawo do życia.

Ale największą, świętą miłością objęłaś lud polski. Stałaś się jego orędowniczką, jego trybunem w poezji naszej. Doli i duszy jego poświęciłaś swe najpiękniejsze liryki i przedziwną, wspaniałą opowieść o panu Balcerze.

A miłość tego ludu kojarzyła się w Tobie z miłością całego narodu. Pieśń Twoja przepowiadała:

Zmartwychwstanie tym ziarnom, co w roli
Przebyły zimę wiekowej niedoli.

Więc też ukochany przez Ciebie naród — odpłaca ci miłością za miłość.

W jubileuszu Twoim, Dostojna Pani, biorą udział wszystkie prowincje naszej na trzech krzyżach rozpięty Ojczyzny. Ujrzysz tu przedstawicieli starej stolicy, co strzeże prochów najdroższych narodowi, i tej drugiej dziś „żałosnej wdowy", co widziała w swych murach wielki dzień 3 maja i wielką noc listopadową — złoty Ci kwiaty uczuć bujna Ukraina, — i usłyszysz echa miłości pełne z tej ziemi wielkich bólów, co wydała największego bohatera i największego wieszcza narodowego. Staną przed Tobą synowie i córki tej pramacierzy, co widziała majestat Chrobrych, a dziś rodzi dzieci wrzesińskie. Znajdzie się między nami i stary a tak drogi nam Śląsk Piastowy; dojdą Cię słowa z ziemi podlaskiej, co krwią i męczeństwem swych synów broniła wiary ojców..

W jubileuszu Twym, Dostojna Pani, biorą udział wszystkie warstwy i stany. Złożyła Ci już hołd reprezentacja kraju, dziś staną przed Tobą delegaci najwyższej naukowej instytucji. A po nich przyjdą przedstawiciele różnych zawodów, zakładów, stowarzyszeń, — stanie przed Tobą młodzież, a ojcowie i matki przyprowadzą swe dzieci, bo ich proste serduszka chcą Ci podziękować za prześlicznę dla nich składane piosenki.

A zanim przybyłaś do tej sali, widziałaś oczekujący na Cię w tłumnym zastępie lud polski — wielki przedmiot Twej miłości, największą naszą nadzieję. Lud ten dumny, że cały naród słyszy dotychczas brzęk kos rackawickich, skłania przed Tobą głowę, bo Ty mu najdroższą siostrą i najlepszą przyjaciółką.

A prócz hołdu tej całej drużyny laszej, co Cię otacza, lub która dziś dochem jest przy Tobie, usłyszysz hołd pobratymczego narodu, który przysłał przedstawicielkę swej literatury.

Komitet jubileuszowy szczególny jest, że przygotowawszy dzień dzisiejszy, stał się poniekąd pośred-

---

powiedzieć, że się do niego wcale i nie garnął. Bezżenny, niemłody, żył na stronie, nikomu się nie narzucał, spokojnie sobie starzejąc i siwiejąc, gdyż, parę razy spostrzegłszy go w kościele i pobliskiem miasteczku, wiedziałyśmy, że ma srebrną siwiznę na głowie i wokół twarzy. A twarz ta, mocno rumiana cerą właśnie do nazwiska mu przypadała, dwojgiem tylko oczu bardzo błękitnych i błyszczących śród czerwoności ogólnej świecąca. Było to tak zupełnie, jakby kto w świtkowy burak wprawił dwie od rosy błyszczące niezapomianjki i wszystko razem na srebrnej kądzieli p łożył.

Nic wcale tedy nie obchodziło nas to, że p. Burakiewicz za interesem jakimś zapewne do gospodarza domu przyjechał i szyłyśmy dalej, w robocie i milczeniu pogrążone, gdy nagle głos na uroczystą nutę nastrojony mówił.

— Memento mori!

To Oktunia, ręce na kolana opuściwszy i żałośnym wzrokiem po nas wodząc, słowa te pogrzebowe wymówiła i dodała.

— Jak w klasztorze, gdy na Silentium zadzwonią...

— Jak u kamedułów, — szepnęła Stefunia.

— Dla czego nie rozmawiamy? — rozmawiajmyż!

Aha! Dla czego nie rozmawiałyśmy! Łatwo to powiedzieć: rozmawiajmy! Kiedy ręce niewprawne coś z wielkim staraniem i niemniejszym zapałem robią, usta aż oddymają się, lub aż zaciskają się z gorliwości, z wysilenia, a głowa im słów żadnych nie podpowiada.

— Przeczytajmy cokolwiek!

— Niech kto głośno poczyta!

Dobrze! Ale w takim razie jedna para rąk od roboty się oderwie. No niech tam! Godzinkę jaką, dwie — para rąk poprożnuje, za to innym przyjemniej pracować będzie.

Skoczyłam do sąsiedniego salonu, wzięłam ze stolika ogromnie wówczas czytywaną, rozrywną broszurę, w której Edmund About dokonywa nowego podziału Europy i wyznaczał w nim szerokie miejsce Polsce wielkiej, potężnej, niepodległej. Powszechnie utrzymywano, że pisarz ten był powiernikiem, zaufanikiem cesarza franc. Napoleona III-go i że, jakby pan Burakiewicz powiedział, Bonapart ten sam mu ją podyktował. Więc kombinacye polityczne szerokie i głębokie, zakreślanie nowych wcale granic państwowych, całkowite przemalowywanie mapy europejskiej — i kolorem najróżowszym z różowych wymalowano na niej przyszłość Polski. A kiedy Bonapart tak myśli, tak układa plany i żywi pragnienie, to już najpewniej tak się stanie, koalicya państw zachodnich na rzecz naszą się zawiąże i wszystkie te zmiany, drogą pokoju albo drogą wojny przeprowadzi. I trzeba tylko, abyśmy sami rąk i serc nie opuścili, abyśmy w mężnej walce nie ustali, abyśmy jej sztandar jaknajdzielniej, jaknajwytrwalej rozwijali, — a Zachód z pomocą nam przyjdzie i tryumf sprawiedliwości, wolności, tryumf Polski, która od tak dawna za dwie te idee cierpi i walczy — radosne surmy i trąby, rozgłośne hymny i peany, na wszystkie cztery strony świata rozgłoszą. Tak pisał na rozkaz podobno pana swego zausznik i powiernik Bonaparta. A gdy słowa pisania tego, żywym głosem odczytywane, rozlegały się po różowym pokoju, Boże! jaką radością skakały nam w piersiach serca, jakie gorące hymny i peany wyśpiewywały wiośniane nasze głowy! Na cześć wspaniałomyślnego i rycerskiego świata, na cześć Bonaparta i sprzymierzeńców jego, na cześć bliskiego, nieuchronnego, ogromnego tryumfu Polski, hymny i peany wyśpiewywały głowy wiośniane i wrzące serca nasze...

A że potem te głowy i serca — tak zwiedzione! — przez życie szły i do mogił doszły, na świat i ludzi przekleństwa nie rzuciwszy — dziw!

Lecz wtedy — kiedy walce tej świętej i tak przez obojch nawet podniecanej dopomagać — to dopomagać ze wszystkich sił, każdą krwi kroplą, każdą iskrą ducha! Cała krew nasza i cały duch nasz rwały się, pędziły do — dopomagania i szczęśliwie czyniłyby wszystko... Ale tymczasem nic jeszcze do czynienia nie było, oprócz życia.

Więc słuchając pieśni słynnego francuza, cudnej pieśni, z wężowej gardzieli płynącej, szyłyśmy, szyły, szyły, czasem łzę rozrzewnienia z rzęsy ocierając, czasem twarze z nad roboty podnosząc i porozumiewawczo zamieniając się zachwyconemi, rajskiemi uśmiechy.

Nagle — w drżący często od wzruszenia głos czytającej, w wymowne słowa francuskie wpadło podniesionym głosem wymówione jedno tylko słowo polskie.

— Zabrakło!

— Jesus Marya! — krzyknęłyśmy wszystkie i, zerwawszy się na równe nogi, otoczyłyśmy Czernisię, z której wyszło to słowo fatalne.

Z długiemi, ciemnemi ramionami wzdłuż figury długiej i cienkiej opuszczonemi, stała Czernisia zasmucona, zmięszana, a my, oniemiałe zrazu

nikiem pomiędzy Tobą a całem naszem społeczeństwem. Jako jeden z wyrazów tego pośrednictwa, składa Ci adres opatrzony tysiącami podpisów. Umieścił go w tej oto skrzyni chłopskiej, w której chciał widzieć symbol Twej pracy i miłości dla ludu.

A drugą pamiątką będzie zbiór utworów Twoich, przystępnych dla warstw szerokich, który komitet do druku przygotował i wydaż, i który Ci oddaje jako własność Twoją.

Wręczając te oznaki hołdu, komitet sądzi, iż ma prawo w imieniu ogółu wyrazić najgorętsze życzenie, abyś, Dostojna Pani, doczekała złotych godów z literaturą i aby za dni tych przyszłych godów, z pod pióra Twego mogły wychodzić same tylko pieśni rodzane, opiewające zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, lepszą dolę ukochanego przez Ciebie ludu, wielki świt narodowego zmartwychwstania!

Odpowiedź Konopnickiej.

Dziękuję Wam! Dziękuję Wam za ten dzień jasny, którýście mi zgotowali! Dziękuję Wam za Wasze gorące serce, za wyciągniętą do mnie dłoń, za to wzruszenie, które na twarzach Waszych widzę, a którem sama do głębi jestem przejęta.

Dziękuję nadewszystko za to, żeśmy tutaj wszyscy razem, że nas nie rozgraniczyły granice, ani nie rozdzielił podział, że nie brakuje nikogo, tych nawet, co długo na uboczu stali, a teraz oto są z nami i dzielą nasze smutki i naszą radość.

Patrzę w pracę mego życia i patrzę w odpłatę, jaką mi niesiecie i czuję się zawstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto i tysiąckrotnie, bo praca była uboga i drobna, odpłata była wielka i królewska, bo praca była na miarę jednej duszy ludzkiej, odpłata była na miarę wielkiej zbiorowej duszy narodu, która nadmiernie ogromna byłaby niepojęta zgoła, gdyby przyczyna tkwiąca w naszem wyjątkowem położeniu politycznem, nie była tak prosta i jasna.

Ono to wyjątkowe położenie sprawiło, że naród któremu w tak znacznej mierze odjęto moc działania, posiada nadzwyczajną moc czucia — w pieśni jednoczy się w nim daleko więcej dusz, niż w jakiemkolwiek innem społeczeństwie, waruje on się w słowie swojem.

Pieśń uznaje za jedną z najżywotniejszych manifestacji swego istnienia i szuka w niej bezpośredniego wyrazu na swoje uczucia.

Pieśń nasza ma osobne uczucie, jakiej inne pieśni nie mają. Ona, jak naród nasz, jest w niewoli.

Zaprawdę, dzień pieśni moich, nie był dniem wesela — nie wyśpiewałam jej pełnym głosem na jasnych polach swobody, nie świeciż nad nią jasno płomień narodowej pomyślności, nie krzepiła jej ona, ale pieśń moja była stłumiona, często zduszona i niedośpiewana, ale wyście ją sobie dośpiewali w duszy, wyście zrozumieli nie tylko jej słowa, ale także i jej milczenie, i tłumiliście to milczenie w piersiach waszych.

A teraz oto, przyszliście.

Uczucia duszy waszej były uczuciami mojej duszy, bo wasze to serce w niej biło, wasz żal, wasza tęsknota w niej drgała, wasza nadzieja barwiła ją kolorem wiosny.

I stoję przed Wami, a na lutni mojej duch ludu mego palce kładzie, iżby wygrał na strunach jej nieco żałości swojej i nadziei. Ale najwyższą jest nadzieja, iżby jeden duch ożywił naród cały, a ta nam się spełniać zaczyna. Z dumą i radością patrzę na uczestnictwo ludu w tem święcie narodowej pieśni, bo ci byli daleko — a oto są bliżcy, bo szli nieraz w rozdwojeniu, a oto wchodzą do jedności ducha narodowego.

Bo i cóż Was przywiodło bracia, z wiosek waszych, jeżeli nie miłość dla naszej ojczystej mowy i cześć dla drogich nam i wspólnych wszystkim nam ideałów, a kiedy możemy mieć wspólne ideały, to i cele wspólne mieć możemy, a mając wspólne cele, możemy ku nim razem iść, a idąc ku nim razem, możemy mieć siłę i nadzieję, że dojdziemy.

Za ten widok na zorzę dni przyszłych,zeście otworzyli go dziś oczom moim, dziękuję Wam z głębi wzruszonej duszy, a żebym Wam serce całe wypiewała, jeszcze całej mej wdzięczności wyrazić nie zdołam.

Winniśmy wreszcie zaznaczyć, że do komitetu krakowskiego jubileuszu Konopnickiej należały przeważnie te same osoby, które w kilka lat później powołały do życia „Straż Polską".

Deklaracja.

Sądzimy, że będzie rzeczą właściwą zapoznać naszych nowych czytelników ze wspaniałą „Deklaracyą", jaką umieściła Konopnicka na łamach naszego pisma, idąc w myśl podjętej przez nas walki ekonomicznej. Przypuszczamy, że i dawni czytelnicy będą nam wdzięczni za jej przypomnienie.

Oto i ona:

Wstępujemy w okres walki.

Podejmujemy wojnę narodową przeciw pruskiemu bezprawiu.

Głośno, uroczyście, przed całym zborem ludów Europy i przed samymi sobą opowiadamy się stroną wojującą.

Nie od nas wyszło wyzwanie.

Walka nasza jest odpowiedzią na gwałt i zniewagę.

Ziemia ma być odjęta ludowi, a lud ma być wyparty z ziemi. Odjęty ma być głos ojczysty mowie, a mowa odjętą ma być życiu i wołaniu jego.

A czego nie czyni miecz najkrwawszy nawet, uczynione jest jednem pociągnięciem pióra, jednym aktem, uchwalonego w oczach narodów prawa zaboreczego gwałtu i prawa grabieży.

Dawno już zamierzył rząd pruski wielkopolską ziemię, uczynić ziemią niemiecką.

Dopóki jednak lud polski rodził się na niej, czuł, myślał, pracował i umierał na niej, — dopóty ziemia broniona była potęgą niezłomną dziejowego życia.

Umyślił tedy zaborca przeciąć gwałtownie przyrodzony związek pomiędzy Ziemią a Ludem. *Związek, który* sprawia, że moce ziemi ojczystej przechodzą w krew ludu, a duch ludu ukrzepia ziemię swą siłą.

On chce wydrzeć z pod nóg Wielkopolan samą podstawę historycznego istnienia, sam grunt i fundament ich historycznego bytu, i z obywateli siedzących na odwiecznych, praojcowych dziedzinach, uczynić chce miliony wydziedziczonych tułaczy.

Chce im odjąć najwyższe, najistotniejsze prawo nazywania się Narodem Prawo, służące tym jedynie ludom, które tkwią w macierzystej ziemi wszystkiemi korzeniami życia.

Chce ujarzmić, chce zniszczyć, chce zabić świętego Ducha Narodu w samej jego najgłębszej treści, wyjawiającej się ojczystą mową.

Chce nas wyłuskać z dziejowej schedy, jaką nam zostawiła przeszłość, chce odciąć nas toporem gwałtu od brzasków przyszłości. Chce nas nie tylko powalić, ale także zdeptać.

A ta ciężka, ciężka krzywda, jest oraz śmiertelną zniewagą. Zniewagą całego narodu.

Naród jest znieważony, naród spoliczkowany, naród wyszacowany na krzyżackiej szali i należony tak lekkim, że w nim tchu życia na jedno pokolenie tylko, a czci i nie na tyle nawet.

Gdy więc krzywda i zniewaga jest powszechną, powszechną musi być obrona nie tylko podstaw życia, ale i honoru.

Na akt niesłychanego bezprawia, na zamach krwawej, ohydnej rękawicy pruskiej, musi być odpowiedzią konfederacya wszystkich Dzielnic i wszystkich duchów Polski.

Kto Polak, kto żyw, komu miła cześć własna i honor Ojczyzny, ten się uzbroi na wielką krucyatę ducha.

Silni i słabi, blizcy i dalecy, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, mężczyźni i kobiety, dzieci nawet pospieszą w szeregi powszechnego powstania.

A wszyscy poniosą zbroje swoje i swoje oręże: swój zapał, swój gniew, swoją wytrwałość, swoje męstwo, swoją żywą siłę.

Każdym tchem, każdą myślą, każdym wybuchem oburzenia, każdem napięciem woli, czynić będą przeciwko gwałtowi następującemu na przyrodzone prawo i na cześć narodu.

Rozpalą się obojętni, ruszą leniwi.

---

z konsternacyi, załamawszy ręce, lub z desperacyą niosłyśmy je ku głowom.

Więc tedy zabrakło!

— Do ilu zabrakło?

— Wykroiłam siedmdziesiąt ośm... już przy końcu coraz węższe, węższe paski kroiłam... ale panie Boże ratuj!... więcej nie wyszło. Do dwudziestu dwóch zabrakło!

— Klęska nie tak ogromna, jak przepowiadała Marylka, jednak klęska.

— Panie Boże ratuj, bo innego ratunku znikąd nie widzę.

— Chyba do panów pobiedz i poprosić, błagać, aby co prędzej do miasta posłali, do tego dalekiego... Ba! czasu za mało... za mało... i jak tam jeszcze sprawi się ten posłaniec...

— Niech która z nas sama pojedzie!

— Łatwo powiedzieć! Każdej coś na przeszkodzie stoi i zawsze ten czas, ten czas! Lada dzień przecież wszystkiego od nas zażądać mogą, a tu — nie gotowe! Stefunia mówi, że od męża swego wie, że lada dzień, a kiedy naczelnik organizacyi tak mówi...

— Bieda! gorzka nawet bieda! Takiej drobnostki nawet nie módz porządnie zrobić! Wstyd! Wiemy, że winy w tem naszej niema, jednak wstydzimy się czegoś.. może złośliwe żarty męskie z roboty niewieściej przeczuwając.

Kiedy tak biedujemy i środki ratunku wymyślamy, żadnego wymyśleć nie mogąc, drzwi od pokojów dalszych uchylają się nieco i przez wązki otwór nieśmiało zrazu wygląda utrefiona ładnie główka Marylki Jaroszyńskiej, a potem wysuwa się ze szczeliny całkowicie i dziewczyna z filuternym jakimś ognikiem w oczach do różowego pokoju wchodzi. W miłości własnej trochę zadrażnięta, trochę może za drzwiami podsłuchiwała, jak sprawa z barankami się rozstrzygnie i co Czernisia o niej powie, a teraz weszła i zcicha, spokojnie, lecz z czemś filuternem w uśmiechu i w oczach, mówić zaczęła

— Proszę pań, przez przedpokój teraz przechodziłam i futro pana Burakiewicza widziałam... Takie śliczne baranki! Siwe, takie delikatne, od tych delikatniejsze... śliczne!

Aż poliszek na dłoń opuściła z podziwu nad ślicznemi barankami p Burakiewicza

A my, na wieść tę, aż zadrżałyśmy od srogiej, piekącej, od zjadliwej pożądliwości — czy zazdrości. Jeżeli jest na świecie oskoma moralna, tośmy wtedy napewno jej doświadczyły. Ot człowiek szczęśliwy, który takie baranki ma!

— I całe takie futro barankowe ma? — głosami osłabłemi zapytujemy.

— Całuteńkie! — Marylka odpowiada, a filuterne ogniki w oczach aż żarzą się i uśmieszki po ustach jej aż skaczą.

— Niech panie pójdą i zobaczą, że nie kłamię — mówi.

— To prawda. Żeby choć zobaczyć! Pójdźmy zobaczyć!

Wniosek uczyniony jest przez Wincusię, która z wielkiemi nożycami w ręku nad stosem pokrojonych kaszmirów stoi, wszystkiemi swemi stalowemi szpilkami, broszkami, klamrami, błyska i wygląda bardzo energicznie.

— Pójdźmy zobaczyć! Pójdźmy!

Nie przez aklamacyę, bo nie jednomyślnie wniosek przyjęty został; Klemunia, Stefunia, hrabina i jeszcze ktoś z miejsca się nie ruszyły, ale pięć poszło.

Aby do przedpokoju dojść, trzeba było przez dwa duże i dwa mniejsze pokoje przejść. Szłyśmy. Pochód otwierała Wincusia, nożyce przez roztargnienie wciąż w ręku trzymając, potem dwoma parami Oktunia z Tosią i ja z Inką, a za nami w ariergardzie dybała na długich swych nogach Czernisia, czarna, długa, kresę przesuwając po obrazach i zwierciadłach u ścian zawieszonych.

Zbitą gromadką skupiłyśmy się w przedpokoju dokoła wieszadeł, na których — o Boże miłosierny! — futro pana Burakiewicza z baranków siwych... takie śliczne...

Ciche wykrzyki i głośne westchnienia Żeby to którego ze znajomych panów własność była! Możebyśmy wyprosiły, wypłakały... na klęczkach choćby paść... A tak, nieznajomy jegomość, Bóg wie kto.. skąpiec też pewnie, ani myśleć o proszeniu... Myśmy wprawdzie wszystkie a wszystkie swoje suknie i inne ubiory jedwabne oddały... ale to co innego... kobietyśmy! A panów wogóle o cokolwiek prosić, to probować kamienie gryźć... zwłaszcza jeszcze takiego.. Bóg wie kogo!

Gdy tak biedujemy i lamentujemy, główka Marylki Jaroszyńskiej z za ramion naszych się wysuwa... Niewiedzieć skąd się wzięła, bo z nami tu nie szła i później zapewne cichutko się wsunęła, a teraz aż łoczki jej nad całem od energii trzęsą się i ręce szeroko się rozkładają, gdy ogromnie rezolutnie mówi:

— Jabym jedną połę ucięła — i już!

Skamieniałyśmy, zamarłyśmy z przerażenia,

Ci, co walczą, silniej jeszcze walczyć poczną. Poczną walczyć na śmierć i na życie, bo oto na przechybie tych dwojga stanęły dla nas czasy.

A ty, o Wielkopolsko, ty stara piastowa dzielnico, ty gniezdna ziemio orłów, które nas ku chwale wodziły, — ty kruszwicko koronna i kmieca, wybłyśnij przed oczyma ludów, jako płomienna reduta Ducha, która, niżby go poddała, — pierwej się zagrzebie

Twoje dwory, twoje chaty, to odtąd zamki obronne i fortece Polski.

Niech ci je wydziera gwałt pruski dach po dachu, próg po progu, piędź po piędzi ziemi Nie wyjdzie z nich dobrowolnie załoga przysięgła, mąż ani niewiasta, dopóki przemocą wyparci nie będą.

Czy w walce tej zwyciężymy? Tak jest. Musimy zwyciężyć. Nie tylko przez tę ekonomiczną szczerbę, jaką my tutaj — posiłki tam walczących — zadamy krzyżactwu, ale nadewszystko przez tę siłę żywą, jaką dobędziemy z siebie.

Przez siłę, protestującą czynem przeciw licznie nas pomiędzy umarłe.

Przez siłę, która postawi nas widomie w rzędzie żyjących, w szeregach, które idą naprzód, ku wolnej przyszłości.

Zbierajcie się, zbierajcie, żołnierze Wodza-Ducha! Już otrąbione jest pole walki potężną pobudką życia, a jasny sztandar nadziei już zaszumiał w słońcu!

Marya Konopnicka.

Pamiętniki z r. 1863

Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna.

Bo kto wszystko za kraj straci,
Kto ojczyźnie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze —
Bo część długu już odpłacił.
Ze śpiewów Janusza.

(Ciąg dalszy).

Po udzieleniu lekarskiej pomocy wszystkich rannych rozmieszczono na podwodach po kilku na jednej i wysłano do Krakowa. Tadeusza Skałkowskiego pozostawiliśmy na miejscu we dworze, bo wedle zdania lekarzy rana w piersi zadana była ciężka i niebezpieczna, która w czasie jazdy sprowadzić mogła krwotoki i śmierć w następstwie.

Ojciec mój na przygotowaną podwodę zabrał dwóch moich braci, tudzież Kazimierza i Bolesława Kolerów i drogą prostowską udał się przez Baran do Krakowa, mnie zaś polecił, abym się przeniósł w inne strony, w inny powiat, a po zaopatrzeniu rannych braci w Krakowie postanowił za mną podążyć i mnie odszukać.

Rozkazu posłuchać musiałem — oni pojechali, ja zostałem.

Rozglądałem się na wszystkie strony, nie wiedząc, dokąd się udać, gdzie oddział wyszukać. Wskutek tego dziwnie posmutniałem. Postanowiłem wreszcie biedz za swoimi i uprosić ojca, aby mnie wziął ze sobą.

Z rannymi prędko nie można było jechać, więc puściwszy się biegiem, po niejakim czasie dogoniłem naszych i ojciec mój przecie ulitował się i zabrał mnie ze sobą.

Wieczorem około godziny dziewiątej przybyliśmy do Krakowa i zajechaliśmy do hotelu Narodowego przy ulicy św. Józefa. Byli to pierwsi ranni. Wieść o ich przybyciu szybko rozeszła się po Krakowie i wnet cały hotel był jak w oblężeniu. Pan Władysław Skrzyński chciał do siebie wziąć jednego brata, a hr. Tarnowska drugiego, czemu się ojciec sprzeciwił. Jacyś panowie prosili, aby mnie zdrowego mogli ze sobą zabrać, do czego się ojciec mój przychylił. Panowie ci wprowadzili mnie w dom notaryusza Marcina Strzelbickiego, gdzie zastałem liczne towarzystwo, przeważnie z pań złożone, a był to właśnie wtorek zapustny.

W tem towarzystwie było kilka panien Sokalskich, córek radcy sądowego, Józefa Sokalskiego ze Sącza Nowego. Otóż panie te przyznawały się do naszego kuzynowstwa, a brat ich Walery, uczeń gimnazyalny, poznawszy nas i ojca naszego, postanowił ze mną i z przybranym stryjem udać się do powstania, do czego pierwej zbyt wielkiej ochoty nie okazywał. I tak się też stało.

Z początkiem marca, kiedy Langiewicz po bitwie pod Małogoszczą zbliżył się do naszej granicy i stanął główną kwaterą w Goszczy, niedaleko za Michałowicami, ojciec mój zabrał mnie i przybranego bratanka Walerego i pospieszył z nami do Goszczy. Tu przedstawił siebie i nas Langiewiczowi, przyczem wymówił sobie również, aby żadnych rozkazów nie wydawał, ani nie słuchał, i aby tylko mógł przy nas do boju stanąć.

Mieliśmy wybierać broń Walery chciał koniecznie wstąpić do konnicy, ja zaś do żuawów, ponieważ w tym formującym się oddziale miałem licznych znajomych, przy których też zaraz stanąłem. Za mną niejako zmuszony był pójść Walery, bo ojciec mój poparł moją decyzyę

Dowódca formującego się pułku żuawów Franciszek Rochebrun, Francuz, wybierał sam do pułku przedstawionych ochotników; miał on wzrok groźny i badawczy, spojrzał na mnie ostro, a że chciałem koniecznie w żuawach pozostać, zrobiłem postawę i natrołem minę siarczystą. Widocznie ja i brat mój Walery zrobiliśmy na pułkowniku dobre wrażenie, bo nas pozostawił w żuawach i przeznaczył do drugiej kompanii.

Oddział żuawów otrzymał najlepszą broń belgijską z długimi bagnetami, tureckie czerwone fezy z czarnemi długiemi kutasami na ramiona spadającemi. Burki mieliśmy prawie jednakowe z ciemnobrązowego sukna.

Oddział żuawów składał się na razie z dwu kompanii, 296 ludzi wraz z oficerami liczących. Pułkownik Rochebrun nic nie umiał po polsku, przeto miał przy sobie tłumacza swojej komendy, oficera wojsk austryackich, hrabiego Wojciecha Komorowskiego, który zarazem był kapitanem nad dwoma kompaniami.

W skład naszego oddziału wchodzili kapitanowie wojsk rosyjskich Czaterski i Postowski, tudzież porucznicy Wierzbicki z Paryża przybyły i Władysław Sokołowski oficer wojsk rosyjskich, zwany Iskrą który później mając swój odrębny oddział, na mocy wyroku rządu narodowego za wielkie zbrodnie rozstrzelany został.

Podoficerów przeważnie mieliśmy uczniów z włoskiej szkoły w Genui i Cuneo. Mieliśmy także kapelana, a był nim ks. Kamiński i lekarza, którym był rodowity Rosyanin.

Każdy z nas, jako nowozaciężny żuaw, pod rozpiętym sztandarem żałobnym, na którym widniał z jednej strony na czarnem tle biały obraz Boga Rodzicy z trupią głową u dołu, na drugiej zaś stronie Orzeł biały ze spętaną Pogonią, wykonywał przepisaną rotę przysięgi, że wiernym będzie temu znakowi aż do śmierci, że się nie cofnie przed naporem największej siły nieprzyjacielskiej i za sprawę swego narodu zginie. Od tego czasu zwaliśmy się żuawami śmierci. Każdy z nas składający przysięgę, w znaki święte wpatrzony, stanąć chciał na wysokości swych zobowiązań i swego zadania.

Pułk cały żuawów śmierci w oddziale Langiewicza do 6 tysięcy liczącym, był liczebnie małym, ale że był należycie zorganizowany, najlepszych miał oficerów i podoficerów, dobrą i pewną broń, rygor wojskowy i że był umundurowany, wywierał przeto pewien uzasadniony efekt, i na nas też najwięcej liczono, przez co każdy rósł w dumę i zarozumienie.

Idąc czwórkami, kiedy spojrzałem na najeżone bagnety, zdawało mi się, że nietylko o Warszawę, ale o Petersburg się oprzemy; to też Langiewicz żuawami zasłaniał cały swój oddział. W przedniej straży idąc, postępowaliśmy naprzód o pół mili, po bitwie zaś o pół mili w tylnej straży.

Cały zbrojny korpus Langiewicza w dniu 11 marca w Goszczy ustawił się w duży czworobok, a w środku tegoż liczny nasz sztab. Tu Langiewicz miał do nas mowę wzywającą nas do męstwa i wytrwałości w dobrowolnie na siebie

---

którem propozycya ta nas przejęła, ale potem wskrzesłyśmy i poczęły zamieniać z sobą słowa cichutkie, szybkie, spojrzenia porozumiewawcze, pałące... Aż przyszła sekunda, tak, na zegarze czasu zadzwoniła sekunda (jeżeli wogóle zegar jakikolwiek sekundy wydzwania), w której kilka ust jednogłośnie i z determinacyą jak śmierć stanowczą wymówiło:

— Winousiu odkroj połę!

Wezwana, cała w błyskawicach swoich stalowych ozdób i w ognistych wypiekach, które na policzki się jej wybiły, jak jastrząb jaskółkę, jak chart zająca, jak podobno szatan duszę potępioną, futro pana Burakiewicza porwała i już je na stole przedpokojowym rozłożyła, gdy nagle zawachała się...

— Jakże to? tak z wierzchem, z watą, z podszewką razem ciąć?

Do Czerniackiej się zwróciła.

Czerniusiu, poradź! Sama odkrój! Ty to porządnie przyjmujesz zrobisz!

Sztuka byłaby u cudzego futra połę uciąć — porządnie! Więc też Czerniesia obu rękami za głowę się schwyciła.

— Święty Boże, święty mocny! Jabym cudze futro... i jeszcze u takiego... Onby mię potem, spotkawszy, wyłajał, albo i wybił.. I panom też nie radzę. — Tylko, że rzeczywiście potrzebne, nie dla kogoś jednego, ale dla szczęśliwości publicznej potrzebne...

Otóż to! Dla szczęśliwości publicznej! W tem rzecz! I jej samej, Czerniei, mimo protestu, oczy na futro p. Burakiewicza patrzą, jak czarne żnżełki błyszczą.

Stawi jednak opór namiętnościom i z obu rękoma ku głowie podniesionemi, po wiele razy wyszeptując: święty Boże, święty mocny! A niech mnie Anieli Stróżowie strzegą i bronią — szerokiemi krokami z przedpokoju umyka i przez długą perspektywę innych pokojów, kresą długą i czarną ku pokojowi różowemu szybko sunie.

A Winousia z nożycami nad rozłożonem futrem, jak dziób głodnego ptaka roztwartemi, rozpaczliwie woła,

— Marylko! Pójdź odkrój! Wprawniejsza... Gdzież Marylka.. Ehe! Już jej i śladu w pobliżu naszem nie było. Zemknęła. Radzić i kusić, to radziła i kusiła, ale kiedy do czynu przyszło, znikła. Tak jak Czernicka zlękła się zapewne sztuki podobną płatać niezajomemu jegomościowi, brutalowi podobno, Bóg wie komu...

Więc Winousia mruganiem naszem ku niej i gestami zachęcającemi na duchu wzmocniona, na odwadze do szarpania najwyższego wzbita, mocno stopami oparta się o ziemię, ramieniem, w nożyce zbrojnem, dziwny jakiś gest wykonała i — czach, czach, czach!...

Od dołu aż do pasa, cała jedna poła pięknego futra oderżnięta, z wierzchem, z watą, podszewką, ze wszystkiem, co do niej należało. I tylko, gdy futro na wieszadło powróciło, strzępy podszewki i kawałki waty z otwartej jego rany żałośnie się ku dołowi zwieszały...

W różowym pokoju było trochę sprzeczki pomiędzy temi z pomiędzy nas, które działały, a temi, które, z miejsc swych się nie ruszyły, trochę wewnętrznych wątpień o godziwości dokonanego czynu, trochę niepokoju w ruchach i zamyślenie na czołach, lecz bardzo wkrótce wygładziło się znowu jezioro. Co tam! Jakoś to będzie! P. Burakiewiczowi stratę poniesioną można zwrócić. Zapłacimy, ile zażąda, i niech sobie inne futro kupi, a teraz mamy baranki! Mamy! Mamy! I rzecz kapitalna. Reszta marność, czczość, przemijalność!

A Czerniska, siedząc przy bocznym stoliku, wierzch z watą od futra odprawa. Pył, dobywający się z prutych materyi delikatną mgiełką jej małe oblicze przysłania, aż z za mgiełki dobywa się głos:

— A jednakowoż nie wystarczy!

— Nie wystarczy! I to jeszcze nie wystarczy!...

— Do dwunastu pewno wystarczy, ale do jakich ośmiu — dziesięciu.... zabraknie!

Ochłonęliśmy z żalu. Ośm na sto — odsetek nieduży. Niech już tam! Cóż robić? Nie pójdziemy przecie drugiej połę p. Burakiewiczowi ucinać!

Wtem, na drugim końcu domu, kędyś w okolicach przedpokoju, jakieś niewyraźne stuknięcie, chody, i nagle głosy męskie podniesione, bieganie, krzyki...

Źle. Minuta sądu i kary nadchodzi. Dotąd nie przyszło nam do głowy, że nadejdzie. Trochę dreszczów po plecach przebiega. Ale nic; z nizko pochylonemi nad robotą głowami siedzimy i szyjemy. Winousia, krojąc kaszmiry nożyczkami, tak zgrzyta, że w uszach świdruje, Czernisia porze. Milczenie. I tylko uszy ku stronie przedpokoju nastawione, nasłuchujące, co się tam dzieje. A tam zaczyna dziać się coś okropnego...

Otwierają się ze stukiem drzwi. Marylka z przestrachem na rozozerwionej twarzy wpada i z przyśpieszonym oddechem mówi:

przyjętych obowiązkach, zapewniając, że chociaż znajdujemy się w warunkach bardzo trudnych wobec licznych wojsk nieprzyjacielskich, zwycięstwo przechyli się na stronę naszą. Po tem przemówieniu rozwinięto czworobok w kolumny czwórkowe, w pochód przez Słomniki gdzieś dalej i dalej.

Ludność Słomnik życzliwie nas przyjęła, a żydzi z dachów swych domów małomiasteczkowych witały nam krzyczeli. Tu pobyt nasz był krótki, bo spieszyliśmy się do Sosnówki, o dwie mile od Słomnik oddalonej.

W Sosnówce żuawów rozmieszczono kwaterą po chłopskich chatach i tu pierwszy raz spałem nie pod niebem gołem, ale wygodnie, na słomie, pod dachem zagrody wieśniaczej.

Nazajutrz rano robiliśmy ćwiczenia z bronią, zwroty i obroty wojenne, co trwało do godziny 11 rano. W południe rozdano obiad, a jednocześnie wydano rozkaz wysłania kilkudziesięciu żuawów na stracone plkiety od strony Miechowa, na które to pikiety i mnie przeznaczono.

Staliśmy dwójkami, o jakie 150 kroków od siebie oddalonemi, w równym łańcuchu rozciągnięci. Ja stałem w dwójce z jakimś studentem z Radomia. Po południu około 4 godziny spostrzegłem trzech jeźdźców, zbliżających się do mnie polną drożyną.

Głosem doniosłym zatrzymałem jadących, a zbliżywszy się do nich badałem, co zacz, za czem i dokąd tędy jadą.

Jeden z tego postoju, brunet około 50 lat liczący, przedstawił się jako główny redaktor Czasu, Antoni Kłobukowski, który samotrzeć jedzie wprost do Langiewicza w sprawach ważnych i niecierpiących zwłoki. Przybyłych odprowadziłem do podoficera dowodzącego łańcuchem placówek rozstawionych, ten zaś do posterunku za pagórkiem ustawionego, a ten znowu do obozu. W dwie godziny później już o zmierzchu dnia 13 marca usłyszeliśmy wrzawę, jakby kto gniazdo szerszeni poruszył, od strony obozu do nas dochodzącą, a później wiwaty.

Panowie konno przed chwilą przybyli, przywieźli Langiewiczowi manifest Rządu narodowego z nominacyą Langiewicza na dyktatora i wodza całej siły zbrojnej uformowanej, formującej się i w przyszłości utworzyć się mającej, i właśnie Langiewicz wobec siły zbrojnej składał na ręce kapelana Kamieńskiego przepisaną przysięgę.

Na stracenej pikiecie stałem 18 godzin, t. j. pół dnia i noc całą. Rano zwinięto nasz łańcuch i zastąpiono go innym.

Dzień się już był zrobił, gdy przybyłem na kwaterę do Sosnówki i nie odpocząłem z trudów nocy minionej, gdy od strony Miechowa usłyszałem strzały. Przypiąłem tornister, broń na ramię i co sił starczyło pobiegłem do swoich, gdzie się żuawi pod żałobnym sztandarem w linię formowali.

Pospiesznym marszem dążyliśmy w kierunku strzałów i dotarliśmy do wagórza, na którem był folwark. Na dachach zabudowań folwarcznych i w oknach porobiliśmy strzelnice, i tu oczekiwaliśmy na nadciągających Moskali; ci jednak po wymianie kilkudziesięciu strzałów napowrót w stronę Miechowa uciekli. Była to mała potyczka; straciliśmy jednak dwóch żuawów, również kilku rannych pozostało.

Jednego ze zabitych pogrzebaliśmy zaraz z ceremoniami religijnemi i koleżeńskiemi tuż przy budynkach folwarcznych w grobie przez kolegów mniej jak na głębokość jednego metra wybranym. Drugiego ciężko rannionego odesłaliśmy podwodą do Krakowa, lecz ten w drodze umarł. Był to dzień piątkowy, 14 marca.

Wieczorem obóz nasz w Sosnówce zwinięto i poszliśmy w stronę Racławic

Długo w noc szliśmy wypoczęci z dwóch poprzednich dni, i około północy stanęliśmy w Markocicach, sąsiedniej wiosce od Racławic. Tu obok dworu nad stawem przenocowaliśmy, a nazajutrz wczas rano wyruszyliśmy w kierunku Jędrzejowa. Po całodziennym a męczącym pochodzie, nad wieczorem stanęliśmy w Antolce, w lesie, przy murowanej szosie z Kielc do Miechowa prowadzącej.

My, żuawi, zajęliśmy wielki budynek murowany, karczmę stanowiący; i tu w drzwiach, oknach i na dachu porobiliśmy strzelnice. Według doniesień kuryerów, właśnie tędy miała przechodzić piechota rosyjska i kozacy. Jazda nasza rozłożyła się w lesie głębokim, strzelcy zaś i kosynierzy po obydwu stronach szosy przez las wiodącej. Miała tu być zasadzka na Moskali, którzy mieli w nocy nad ranem tędy przechodzić, i dlatego nie wolno było palić ogni, a nawet rozmawiać głośno było zakazanem.

Kapitan Komorowski zaraz z wieczora postawił mnie przed karczmą na warcie, a po trzech godzinach przybiegać innym mnie zastąpić, tymczasem zapomniał o mnie i ja przestałem na warcie noc całą.

Rano odeszliśmy w tym samym kierunku, którędy wczoraj przyszliśmy. W drodze, w czystem polu, zatrzymano nas. Powiedziano nam, że pójdziemy do boju. Ksiądz kapelan Kamieński klęczących pobłogosławił i odczytał modlitwę za umarłych. I znów tąsamą drogą ku Antolce gwałtownie nas pchnięto.

Nakaz wydany był, aby co sił starczyć może i w jakimbądź porządku, byle prędko pędzić, aby tylko Moskalom do lasu w Antolce się zbliżającym zastąpić. I nie udało się. Moskale już przed nami przeszli, uciekli, żeśmy ich ze zasadzki wypuścili.

I znowu tąsamą drogą potrzeba było powracać. Manewr ten bardzo źle na nas żuawów wpłynął, poczęli więc nasi szemrać i posądzać Langiewicza o niedołęstwo i złe chęci. Niektórzy wołali, że lepiej będzie obrać wodzem ojca Sokalskiego, a on z pewnością lepiej nas poprowadzi.

Umysły nieco wzburzone uspokoiły się i tak idąc i rozmawiając przyszliśmy pod Giebułtów, majątek pana Bielskiego.

Tu dowiedzieliśmy się, że we dworze kilku naszych biesiadowało, i na nich to Moskale napadli, częścią wymordowali, częścią poranili. Tam zginął z Tarnowa Artwiński.

Po chwilowym odpoczynku nastąpił wymarsz. My jak zwykle w przedniej straży, a przed nami szpica z kilku kawalerzystów złożona. Ona to widząc jakiegoś podejrzanego ozbywieka do lasu się skradającego, dopędziła go, a ujawszy nas do odprowadziła.

Chłopi z Giebułtowa na widok przytrzymanego ozbywieka oświadczyli jednogłośnie, że to ten właśnie, który na dwór w nocy naprowadził Moskali. Andyforyat prawniczy naszego korpusu spisał protokół ze świadkami i z obwinionym, poczem wydał wyrok skazujący oskarżonego na karę śmierci przez powieszenie.

Wyrok ten doraźnie wykonano wobec gromady chłopów z Giebułtowa na skraju lasu na przydrożnej sośnie.

Była to niedziela 15 Marca.

Po wstrętnej egzekucyi pozsliśmy dalej przez wieś Góry, aż gdzieś późnym wieczorem stanęliśmy w jakiejś nieznanej wsi i w czystem polu pod dworem przenocowaliśmy. Noc była chłodna i wietrzna, lecz przeszła spokojnie.

Na drugi dzień w tym samym kierunku ruszyliśmy dalej. W drodze dowiedzieliśmy się, że Moskale z kilku stron ciągną i ścieśniają swój pierścień na nas zatoczony. Po całodziennym, a nużącym pochodzie dnia 16 marca, późnym wieczorem stanęliśmy w Chrobrzu, majątku i rezydencyi osławionego Aleksandra Wielopolskiego.

W Chrobrzu był dwór magnacki z kilku gmachów okazałych złożony, a przez mnóstwo oficyalistów i sług rozmitej kategoryi zamieszkały.

Nas żuawów zakwaterowano w jednym z pałaców, gdzieśmy z folwarku nanieśli siana i słomy i rozesłali je na posadzkach w rozmaite desenie i arabeski ułożonych, i zaraz rozsiodłaliśmy się po trudach do spoczynku.

Jeden z naszych kolegów, Stroński, dezerter z wojska austryackiego, zauważył, że w takim okazałym pałacu powinna być okazała piwnica. I wnet nasza wiara zbiegła po schodach do piwnicy, gdzie zamknięte drzwi wyważono i każdy w jednej chwili nabrał butelek tyle, ile zabrać i unieść mógł. W butelkach były stare wina, miody i koniaki. Beczki

---

— Co to będzie? Co to będzie? Pan na służbę tak gniewa się, że niech Bóg broni... Każe mówić: kto to zrobił, a oni nie wiedzą.. a pan myśli, że kłamią, i coraz więcej gniewa się.. i Józef aż płacze.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy myśmy już z krzeseł się zerwały. Nie, nie! Na służbę gniewu i wyrzutów niesprawiedliwych ściągać nie można!

Trzeba iść, wszystko wyznać, pana Burakiewicza przeprosić, ile kompensaty pieniężnej żądać będzie, zapytać.

— Chodźmy!

— Chodźmy!

Więc naprzód winowajczynie, potem, przez solidarność koleżeńską, te, które w przestępstwie czynnego udziału nie przyjmowały, za niemi Czernisia, zatroskana ale i z zaciekawieniem w czarnych oczkach, a na ostatku Marylka-kusicielka, jak kot przestraszony, pod ścianami cichutko się przesłizgująca

W drodze zaskoczyło nas pytanie, która do p. Burakiewicza pierwsza przemówi? Cóż? Gospodyni domu naturalnie.. O, ciężka minuto pokuty i umartwienia. Ale niema co! Mają racyę! Mnie wypada pierwszej głos zabrać przed tym jegomością nieznajomym, wielkim jakimś — Bóg wie kim!

Oktunia i Stefunia z obu stron szepczą mi przy twarzy:

— Ja z pomocą ci przyjdę!

A ja za sobą słyszę głos innych:

— I ja! I ja! I ja! Wszystkie będziemy przyznawały się, przepraszały...

— I płaciły..

Drzwi z sali jadalnej do przedpokoju prowadzące na oścież rozwarte, znać po nich wielkie pędy, z jakiemi tu ludzie wbiegali i wybiegali. A dokoła wieszadeł — piekło wre Panowie i lokaje skupieni, osłupiali, p. Burakiewicz rozmachuje rękoma i krzyczy, gospodarz domu na służbę krzyczy, stary Józef czerwoną chustą oczy sobie z łez ocierą, kredensowy pomocnik jego cienkim głosem wrzeszczy, że jak Boga kocha nie wie, kto to zrobił...

Wejście nasze, takie gromialne, sprawia dywersyę i ten efekt wywołuje, że wszyscy milkną i patrzą, co to za taka procesya niewieścia idzie... A my prosto ku p. Burakiewiczowi zmierzamy i przed nim stajemy, to jest, ja przed nim staję, a towarzyszki moje za mną, jak mur, a za niemi jeszcze Czernisia i Marylka.

Staję, dygam, rękę ku p. Burakiewiczowi wyciągam. W tejże chwili gospodarz domu, wypadkiem zaszłym bardzo rozgniewany i wtargnięciem naszem aż do osłupienia zadziwiony, ulega jednak przyzwyczajeniu, rzec można, nałogowi towarzyskiemu i aktu prezentacyi dokonywa.

— P. Burakiewicz — moja żona...

A p. Burakiewicz twarz ma czerwieńszą jeszcze niż zwykle i wśród niej oczy błękitne wprost słupem od zdumienia stoją. Zdaje się, że na widok tych jedenastu niewiast, nie wiedzieć czego przed nim zjawionych, o poniesionej krzywdzie na chwilę zapomniał. Z bardzo niezgrabnym ukłonem rękę czerwoną i szorstką, ręki mojej dotyka, a ja mówić zaczynam. Cicho mówię, bo mi w piersiach drży i w gardle dławi. Jednak mówię.

— Przyszłyśmy przeprosić pana... bardzo, bardzo pana przepraszamy... bo to my... to jest, głównie ja, właściwie ja...

— Nie, nie, to my wszystkie... — odzywają się za mną chórem towarzyszki moje.

— Ja... my... zrobiłyśmy to.. uciężyłyśmy tę połę...

— Co? — jakby kto z pistoletu wypalił, wyrywa się z ust pana Burakiewicza i widać po nim, że we wściekłość wpadać zaczyna.

— Cóż to? Panie dobrodziejki żarty jakieś ze mnie, kpinki, drwinki.. niech dyabli porwą..

Na widok tak rozsrożonego nieprzyjaciela, mnie głos zupełnie posłuszeństwa odmawia, ale wysuwa się z za mnie Wincusia i głośno, rezolutnie rzecz przekładać zaczyna.

Mowa jej zwykła jest, ale treści pełna. Krótko lecz dobitnie opowiada co i jak było, i że to ona, ona właśnie, ot temi nożyczkami połę futra ucięła i teraz nożyczki te tu przyniosła na dowód, (osobliwy zaprawdę dowód!) że nikt inny tylko ona to uczyniła, więc bardzo, bardzo przepraszа...

— Bardzo, bardzo przepraszamy! — rozlega się za mówiącą na różne tony i chór niewieścich postaci w najgrzeczniejszych pod słońcem dygach ku ziemi przysiada.

Teraz ja znowu występuję.

— Niech pan będzie łaskaw powie, ile to futro... ile mamy panu zwrócić... na odkupienie zepsutego futra.. my najchętniej... zaraz...

I znowu dziewięć dygów, z towarzyszeniem chóru.

— Bardzo pana przepraszamy i niech pan będzie łaskaw powie — ile za to zepsute futro...

Co myśleli i czuli, jak wyglądali świadkowie

z winem wytoczyliśmy z piwnic i oddali do użytku nnym oddziałom.

Zawartością butelek raczyliśmy się kolejno po koleżeńsku, a że wino było moone, a głowy słabe i żołądki puste, zaczął salon z nami dokoła tańczyć, i wnet też zasnęliśmy snem sprawiedliwych

Nazajutrz rano, a był to dzień wtorkowy 17 marca, obudziły nas dzwony pobliskiego kościoła, gdzie wielu z nas udało się na nabożeństwo przez naszych kapelanów odprawiane

Przed południem do Chrobrza przybyło dwóch kurverów, czy też dwie kurvery z doniesieniem, że Moskale idą od Buska i Stobnicy. Korpus cały Langiewicza stanął pod bronią, a przeszedłszy poza dworem przez most na rzece Nidzie, daleko na zachód poza obszerną równiną, zajął wzgórza pod wsią Zagościem. Jenerał rosyjski Czengiery zbliżał się z owej strony, i jemu to cała nasza siła miała stawić czoło. Nas żnawów z dwoma plutonami kawaleryi pozostawiono w Chrobrzu, z rozkazem przyjęcia tu bitwy z Moskalami od Buska idącymi

Cały dwór w Chrobrzu na wielkiej kilkunastomorgowej płuszczyźnie wygląda jak forteca, okolony dębowemi palisadami. Miejsce to bardzo nam się nadało na plac boju.

Przyczajeni od strony wewnętrznej do palisad, pomiędzy któremi były wolne przestwory, wyczekiwaliśmy ataku na nasze pozycye.

Na obronnej pozycyi staliśmy niedługo. Adjutant dyktatora na spienionym rumaku przypadł z rozkazem, abyśmy z obranej pozycyi zeszli, a przeszedłszy przez m st na Nidzie na prawym jej brzegu zajęli stanowisko obronne i Moskali nie przepuścili do czasu aż most będzie zburzony.

Po przejściu naszem saperzy poczęli most burzyć i palić, a kiedy już drugie przęsło mostowe runęło do wody, rozpoczęliśmy pospieszny pochód do siły głównej, która już na ten czas rozpoczęła walkę na dobre, co po ożywionym rozhoworze ręcznej broni można było zauważyć.

W pochodzie tym, a właściwie w połączeniu się z siłą główną, rosyjscy dragoni chcieli nam przeszkodzić i odciąć nas.

Całą swą konnicę w linię rozwiniętą na terenie od topniejącego śniegu nieco grządkim, zatakowali nas Moskale, a na ich lewem skrzydle odprzodkowane dwa działa otworzyły na nas swój ogień. Pierwszy to był dla mnie bój, w którym działa wchodziły w akcyę.

Kolumny dymu i ognia zapowiadały nam dzieło zniszczenia. Jednocześnie z ogłuszającą detonacyą kule działowe przelatywały ponad naszemi głowami, napełniając wyciem, a właściwie swym dzikim chłhotem powietrze i pękały za naszemi szeregami

Były to granaty.

Artylerya nieprzyjacielska trafnie dla swych pocisków obrała dyrekcyę, odległość jednak źle obliczyła, bo granaty padały i pękały daleko za naszemi plecami, co gdy Moskale zauważyli, znowu na krótszą odległość strzelać poczęli. I te pociski również nie wyrządzały nam prawie żadnej szkody. Ubito tylko przed naszym frontem bułanego konia pod pułkownikiem R chebrunem. Przeciw atakowi dragonów i ostrzeliwaniu armat stanęliśmy nie jak zwykle stawać się powinno w czworobok, ale w dwa rozwinięte szeregi. Już na 600 do 700 kroków atakujący nas dragoni otworzyli do nas ogień ze swych karabinków

Migotanie błyskawiczne nad końskiemi głowami kłusującej kawaleryi czyniło widok malowniczy. Ponieważ strzelanina ich żadnej szkody nam nie wyrządzała, przeto mogliśmy spokojnie wyczekiwać bliższej dystancyi, a przypuściwszy dragonów na 300 kroków wykonaliśmy salwę, po której w szeregu ich zakotłowało się i zakłębiło, następstwem czego był zwrot w tył i ucieczka.

Salwę strzałów wykonaliśmy, jak nam mówiono, z precyzyą. Na krótką chwilkę na wzgórzach Zagościa i ój przerwano. Z bijącem sercem nasi wyczekiwali rezultatu, który według prawdopodobieństwa słowrogo zdawał się nam zapowiadać. Wodle zdania znawców obserwujących nas ze Zagościa, w dwa szeregi ustawieni przez każdą kawaleryę trochę śmielej atakującą, powinniśmy być rozbici i zniesieni. (C. d. n.).

Do Częstochowskiej.

..Bądź że Ty naszej ziemi miłościwa,
Szwedzką znaczona szablą, Matko Boża,
Piastowej, czarnej strzechy błoga zorza,
Od drogich pereł mieniąca się szkliwa!..

Jakeś dobrocią, łaską Bożą świeci
Twoja twarz ciemna, Polski gospodyni!..
Na ziemi naszej mrok ducha się czyni!..
Wstaw się do Boga za nas, Twoje dzieci!..

Nie o to, byśmy nie pomarli z głodu,
Nie o chleb czarny dziś u stóp Twych żebrzę,
W gorzkiem płakaniu i w łez drżących srebrze.!..
O jedno błagam: wzmóż ducha narodu!..

Wacław Wolski.

Ku granicy.

(z cyklu: „Śladami legionów").

Oto potok Tagliamento, śród ścian górskiego wąwozu, rozlewa swe wody, całkiem lazurowe

Wzdłuż potoku marszem przyśpieszonym, krokiem batalion żołnierzy, w zwartej kolumnie.

Jest miesiąc Germinal, V-go roku Rzeczypospolitej. Właśnie pierwsze tchnienia wiosny owionęły słoneczną ziemię auzońską i dotarły aż do tych północnych rubieży, do stóp gór. Za dotknięciem miękk ch powiewów, idących od ciepłych fal Tyrreńskiego morza, ocknęły się pędy i gałęzie drzew, poczuwszy w sobie świeży moszcz życia. Paki nabrzmiały i zaczęły się otwierać, roniąc w nagrzanem powietrzu woń subtelną, pełną aromatu. Blady olwnik i ciemny, lśniący liść lauru rozwinęły odnowioną swą zieloność, na podobieństwo pysznych ram, wieńczących gody życia i wiosny. Brzoskwinie obłóczyły się już w gazę blado-różowego kwiecia i stoją w tych przejrzystych osłonach, jak wdzięczne druhny lub narzeczone, gotowe na przyjęcie oblubieńca. U ich stóp, na podobieństwo ślubnego kobierca, ściele się lśniący aksamit odświeżonej murawy, zdobny w zawiły kwietny deseń i w przepych złotogłowiu. Wszystko dokoła lśni. kwieci się i błyszczy w słońcu. Jedynie zastęp starców poważnych, odwiecznе dęby i platany o korze białwej, stoją jeszcze nagie i półuśpione, jakby niedotknięte dotychczas berłem czarodziejskiem wiosny.

Lecz w górskim wąwozie nad potokiem Tagliamento o wiośnie jedynie mówi wysoki, promienny sklep lazurowego nieba, skąd słońce sypie żarem o tej godzinie. Kraj to nagich turni skalistych, stromych, szarych krzesanic, złobionych przez deszcz i pioruny. Ani śladu roślinności lub zieleni. Skaliste podłoże, pełne drobnego żwiru, przecięte wpodłuż wstęgą lazurowego potoku, błyszczy w potopie południowego słońca białością olśniewającą, która wzrok razi i zdaje się mówić o trudach i znoju pustyni

I śród tego skwarnego pustkowia, marszem forsownym, kolumnę idą żołnierze. Spłowiałe, granatowe kurtki na ich plecach barwią się w słońcu, błyszczą draganki, łampasy i mundurowe wyłogi, a głuchy, miarowy odgłos obcasów, uderzających o kamieniste podłoże, echem jednostajnem odzywa się w skałach.

Z pod wysokich czap patrzą jasne, szaro-niebieskie źrenice, spalone, czerniałe w słońcu i trudach twarze, lniane wąsy, srogie jak wiechcie...

Marsy groźne w twarzach... Oj, nie dzieciuchy-to i nie rekruty! W latach tułaczki zeszli oni pół świata, a od dwu już miesięcy depcą tę oto „auzońską" ziemię.

---

sceny tej, nie wiem, bo w nadzwyczajnem zmięszaniu swojem o istnieniu ich prawie zapomniałam, ale w p. Burakiewicza wlepiłam oczy nie rozumiejące, zadziwione, bo dziad się z nim i na twarz jego wybijad się poczęło coś doprawdy niespodziewanego, nadzwyczajnego.

Na twarz jego, jakby nagle pobladłą nieco, wybijad się poczęła pilna uwaga zrazu, potem radość... jakaś rozrzewniona, promienna radość.

Już kiedy Wincusia przemawiała, historyę konfederatek, niewykończeniem na czas zagrożonych, opowiadając, gniew znikał mu z oczu i ukazał się w nich wyraz ciekawej, skupionej uwagi. A potem błysnęła radość. Nie wiem, czy ostatnie słowa nasze o pieniądzach wynagrodzeniu szkody zrządzonej słyszał, bo mu powieki dziwnie jakoś mrugać i wargi pod srebrnym wąsem drgać zaczęły, jakby przez gwałtownie ciencze się na nie słowa miotane. Aż wybuchnął:

— Tedy panie dobrodziejki w takim celu moje futerko pokiereszowały! Na czapeczki dla tych... co tam idą... za.. za ojczyznę.. Niech mię dyabli wezmą, jeśli nie jestem kontent, wdzięczny...

Stentorowy głos drżeć mu zaczął, wargi już wprost latały, a niezapominajki, w burak ćwikłowy wprawione, całe były oblane błyszczącą rosą.

— Do dyabła ciężkiego! Czegóż ja tak irytowałem się tu, gniewałem. Przepraszam, bardzo przepraszam! Szelma ze mnie i — dureń! Ale teraz to dziękuję paniom dobrodziejkom, sto razy, sto tysięcy razy dziękuję.. dziękuję.. za to, że choć to, choć tem.. choć tym kawałkiem sukmany mojej...

Przy ostatnich wyrazach rzucił się ku nam ruchem tak gwałtownym, że aż pomimo woli niecośmy się w tył cofnęły, i począł nas jednę po drugiej w ręce całować. Pocałunki te jak wystrzały pistoletowe rozlegały się po przedpokoju a w przestankach głos grubv, chropowaty, w tej chwili czułością jakąś, smutkiem jakimś przejęty mówił:

— Bo to, panie dobrodziejki moje, stary jestem i sam już nie mogę... a syna nie mam.. i obcy tu osiadłem, nikomu nieznajomy... tedy nikt mnie nie ufa, nikt odemnie niczego nie żąda.. a ja z serca i duszy radbym... czemkolwiek, radbym przyczynić się.. służyć..

Już wszystkie nas jedenaście z kolei, bo Czernisię i Marylkę także w rękę pocałował, gdy nagła myśl jakaś strzeliła mu do głowy. Znieruchomiał, przez parę sekund oczyma zamyślonemi po nas wodził.

— A może.. — zaczął — może więcej potrzeba.. może jeszcze uciąć?...

Ażeśmy się zatrzęsły od zdziwienia i od — tajonej radości Lecz nie wypada tak odrazu propozycyi zdumiewającej przyjmować! Więcemy chórem i pojedyńczemi głosami wołały:

— Dziękujemy! Dziękujemy bardzo panu! Pan bardzo dobry, ale nie możemy nadużywać... I bez tego nie wiemy, ile za taką szkodę..

— Co tam: ile, jakie tam: ile? To ja paniom dobrodziejkom wieczną wdzięczność.. niech mię dyabli porwą, jeżeli kłamię, że wieczną wdzięczność... i jeżeli więcej potrzeba.. jeżeli, wogóle mówiąc, czegokolwiek potrzeba..

Tu, na czoło orszaku wysunęła się z pomiędzy towarzyszek Oktunia i w amazonce swej zgrabna, śmiała, a na twarzy tak wyglądająca, jakby wnet z uniesieniem: „Rachelo kiedy pan" zaśpiewać miała, rzekła:

— Jeżeli prawdę wyznać mamy, to nam jeszcze do dziesięciu.. oszycia barankowego brakuje...

— Brakuje! — wykrzyknął — a co? Przeczuła dusza moja, że jeszcze brakuje...

Zerwał z wieszadła smutne ruiny futra swego i nam je podawał, to jednej, to drugiej wprost w ręce wciskał.

— Proszę, proszę! Niech te szelmy barany szczęścia tego dostąpią... zaszczytu tego.. i ja razem z niemi...

Wzruszone, zdziwione, oniemielone cofałyśmy się, dygałyśmy, nie śmiąc daru przyjmować.. Hrabina pierwsza pochwyciła jedną z rąk, które go podawały, i mocno ją ścisnęła, poczem ta czerwona, szorstka ręka od jednej do drugiej dłoni niewieściej przechodziła, ściskana, wstrząsana, nie po światowemu, nie po salonowemu, ale po prostu, serdecznie. I mówiłyśmy ciągle:

— Czy podobna? Ależ niepodobna! Jakże pan bez futra pojedzie! Dziś tak chłodno! I nam aż tyle niepotrzeba!

— Niepotrzeba aż tyle! No to drugą połowę tylko... do dziesięciu czapeczek drugą połowę... Pewno jak raz wystarczy...

W ręku Wincusi dziwnie jakoś w porę nożyce błysnęły i zadzwoniły.

— Ot i nożyczki są! — p. Burakiewicz zawołał — dzięki Bogu są nożyczki... za pozwoleniem pani dobrodziejki...

Wychwycił z rąk Wincusi nożyce ruchem tak

Wiarusy same, chłopy na schwał, którzy zjedli zęby na żołnierskim chlebie, dla których miłość Ojczyzny i honor — zakon pierwszy.

Tu już poznać się dali w Brescia i Salo, gdzie trzeba było tłumić „niespokojność“ i wspierać „patryotów“, i w górach Romanolskich, gdzie im wypadło utrzymywać porządek śród zrewoltowanych górali, a wszędzie ich „konduita“ była tak nieskazitelna, że administracya Lombardyi nadesłała im w darze sztandar, który tam oto błyszczy w pierwszym szeregu, samemu zaś jenerałowi dzielnego konia z pięknem osiodłaniem.

A oto teraz idą za przewodem szefa Kosińskiego, forsownymi marszami, do Palmanowy, w celu niewiadomym.

Dojąć ich srogo znój trudów i tej godziny południowej. Pot strugami po twarzach im spływa, piersi dyszą ciężko. Ten i ów, słabszy, ledwo powłóczy nogami. Od czasu do czasu słychać głos sierżanta-majora, Zadory, brzmiący od prawego skrzydła:

— Pilnuj szeregu! Nadążaj z innymi, niedołęgo!

Jadący na czele kolumny, szef batalionu Kosiński, spojrzał na niebo, skąd leciał żywy żar i zatrzymał konia.

— Nie sposób przedłużać marszu — zwrócił się do kapitana-adjutanta — każ waćpan zatrzymać się kolumnie.

Adjutant odwrócił się i głosem donośnym zakomenderował:

— Kolumna... stój!

Kapitanowie, dowodzący kompaniami, powtórzyli komendę:

— Kompania.... stój!

A potem:

— Odstaw broń! Spocznij!

Szeregi zatrzymały się, żołnierze wysypali się z nich gromadnie, aby pod osłoną skał znaleźć cień i upragniony odpoczynek dla strudzonych członków. Inni śpieszyli do strumienia. Tymczasem oficerowie porozstawiali straże dokoła obozowiska, poczem zebrali się razem w załomie skalnym, gdzie było nieco cienia i gdzie można było wspólnie posilić się i wypocząć. Utrudzenie jednak było tak wielkie, że odpadła chęć nawet samego posiłku. Każdemu z tych ludzi, jeszcze młodych i nawykłych do trudów, pilno było przedewszystkiem rzucić się dziekiolwiek na ziemię i wyciągnąć na gładkiem, skalistem podłożu cały tułów, ręce i nogi, utrudzone długim marszem wśród głazów, zwiru i znoju. Wszak szli tak bez przerwy już od dni dziesięciu, z jednakim pośpiechem, przebywając góry, doliny i strumienie, ucierając się po drodze z regularnem wojskiem weneckiem, które krążyło nieustannie po bokach na tej przestrzeni ich przemarszu, odbijając napady band powstańczych w górach, forsując z orężem w ręku wszystkie przejścia, a nadewszystko przejścia kanału białego oraz Adygi.

A jednak na twarzach tej garstki oficerów nie widać wcale zniechęcenia, owszem, bije z nich pogoda, ufność, zapał. Mimo znużenie, zebrawszy się na czas wypoczynku wszyscy razem, przerzucają się oto krótkiemi zdaniami, a w ich głosach brzmi jakaś nuta nadziei radosnej.

— Dziś nocleg nam wypadnie w Cordojo, a stamtąd już jeden tylko przemarsz do Palmanowy — przypomina ktoś wesoło.

— I wnet granica austryacka — odzywa się drugi.

— Granica!... A tam już co krok — będzie wciąż bliżej i bliżej.... — woła jakiś głos młodzieńczy, pełen radosnego uniesienia.

— Ileż tam jeszcze nas czeka trudów i przeszkód do przezwyciężenia!... — odzywa się ktoś z refleksyą, pełną troski głębokiej

Lecz twarze dokoła płoną łuną zapału. Cóż znaczą wszystkie zapory i trudy wobec upragnionego celu, który im przyświeca, jak słońce zbawienia?...

— Wszystkie nasze oddziały już są niechybnie w marszu. Dębowski że swymi fizylierami musiał już wyjść z Mantui. Strzałkowski i Liberadzki dążą w tejże dyrekcyi.

— A sam generał z grenadyerami oczekuje już nas w Palmanowie!

Wtem w koło rozmawiających wszedł Kosiński. Oficerowie wobec szefa przybrali postawy pełne uszanowania, on zaś bystro spojrzał po obecnych, i, przekonawszy się, że są zebrani wszyscy, przemówił:

— Powziąłem zamiar, co do którego chciałbym się naradzić z waćpanami. Jak wiecie, cel ostateczny naszej wyprawy stanowi poniekąd tajemnicę sztabu. Odsłonił nam ją jenerał Dąbrowski, ale dla żołnierzy zostawił swój plan do czasu w ukryciu. Mojem zdaniem, dziś nadszedł czas, aby odsłonić żołnierzom prawdę. Świadomość celu natchnie ich otuchą, pokrzepi ducha, doda sił do znoszenia dalszych trudów, stanie się bodźcem do nowych zwycięstw. Zresztą całą odpowiedzialność za ten krok biorę na siebie.

Grono oficerów przyjęło te słowa szefa z zachwytem. Ciężyło im to dotychczas wielce na sercu, że nie mogą radosną nowiną podzielić się z żołnierstwem, z którem, śród spólnych trudów i niebezpieczeństw, już się zżyli, jakby z młodszą bracią. Niechże i te serca prostacze, gorące i wierne, zabiją wielką, szczerą radością. Wystużyły to sobie długotrwałą męką, wiernością, poświęceniem....

Tymczasem rozżarzona kula słoneczna stoczyła się z zenitu, wydłużyły się cienie skał na rozpalonym zwirze. Skwar południowy zelżał. Na głos komendy szeregi żołnierzy ustawiły się w kolumnę, gotową do dalszego marszu.

W tej chwili przed front kolumny wystąpił Kosiński i głosem donośnym, aby być słyszanym przez najdalsze szeregi do żołnierzy przemówił:

— Bracia-wiara! Od czasu, gdy przeznaczenie przywiodło nas na ziemię włoską, leliśmy na niej hojnie krew naszą w obronie wolności obcego, uciemiężonego ludu. Każdy z nas pochował w sercu, jak relikwie najdroższe, właśne swoje bole i nadzieje i myślał jeno o tem, jakby z honorem zadosyćuczynić powinnościom służby, przyjętej dobrowolnie. Dziś, ze zmianą okoliczności, i na naszem niebie zabłysła niejaka gwiazda nadziei: bracia, idziemy do Polski!...

Tu się zatrzymał na moment, a śród szeregów zaległo milczenie, jak makiem siał. Nie poruszyły się szeregi, nie zadrgał muskuł na żadnej twarzy. Nie — jeno jakgdyby olśnienie nagłym blaskiem źrenic, wpatrzonych w mówiącego, przebiegło w jednem mgnieniu oka z końca w koniec. Niejeden prawie był pewny, że mu się jeno przesłyszało imię, jedyne w świecie, na którego dźwięk w tych piersiach zawiędłych zrywał się szloch i serce mdlało w słodyczy i męce, pełnej łez....

Tymczasem szef Kosiński mówił dalej:

— Wódz nasz, jenerał Dąbrowski, za zgodą naczelnego wodza jenerała Bonapartego, ułożył plan, wedle którego działając przeciw lewemu skrzydłu armii nieprzyjacielskiej, wkroczymy w granice Austryi. Prąc przed sobą wojsko cesarskie mamy się przebić z orężem w dłoni przez ziemie Krostów, przez Siedmiogród, Węgry i Bukowinę, zanim dotrzemy do Galicyi, do progu Ojczyzny. Tam, w połączeniu z rodakami, rozpoczniemy walkę o naszą wolność. Droga do Ojczyzny daleka, najeżona trudnościami, pełna niebezpieczeństw. Musimy przełamać te przeszkody, przezwyciężyć wszystko, wytrwać do ostatka, jeśli chcemy zerwać te kajdany, w które nas skuła obca przemoc, i stać się znów ludem wolnych Polaków. Bracia-wiara! Wiem, że nie trzeba wam słów zachęty, gdyż to jest kresem wszystkich pragnień waszych.

Zamilkł, a z tysiąca piersi buchnął jeden gorący okrzyk, podobny do gromu. Piersi przepełniło uczucie bez miary, serca były, jak wniebowzięte. Idą do Polski! Podobnaż-to? Lecz jakże nie dać wiary wieści, która wyszła z ust dowódcy A więc to prawda, prawda... A więc się ișci i spełnia na jawie to, o czem marzyli jeno we śnie, jako o upragnieniu gorącem, nie mającem się nigdy ziścić, niewiarogodnem...

Idą, idą do Polski, obaczą oczyma ziemię ojczystą, kości ich spoczną nie na obczyźnie, lecz śród prochów ojców i braci.... I naraz, z tej

---

niesłanowym, że aż syknęła trochę z bólu, i w mgnieniu oka resztki baranów swych na stole rozłożywszy: czach, czach, czach! Krojąc, mruczał:

— Twarda bestya ten baran... ale i nożyce szelmy tępe... niech-ich dyabli...

A gdy piękne niegdyś futro żadnej poły już nie miało, zaczął pozostałości na siebie wkładać.

— Panie dobrodziejki mówią, że dzień dziś chłodny, ale ja sobie z tego kpię... Zdrów jestem.. chwała Bogu, i mogę choćby w mróz bez futra.. A tu jeszcze piersi i plecy okryte...

Wciągnął na plecy dziwne ubranie, które tak zupełnie jak niewieście figaro wyglądało, tem tylko się od niego różniąc, że było z rękawami, i że z cięcia przez nożyce operacyjne zadanego, zawisły mu ku dołowi bajeczne żałosne strzępy waty, sukna i podszewki.

Ale teraz otoczyli go panowie, wszyscy trzej domowi i gość. Gospodarz domu prosił:

— Niech sąsiad będzie łaskawy tak zaraz nie odjeżdża... Może obiad zjemy razem... Konie do stajni niech odejdą..

Nie przez grzeczność, nie przez zwyczajną grzeczność po raz pierwszy do domu swego pana Burakiewicza, jako gościa do domu zaproszał. W głosie jego czuć było wzruszenie.

A p. Burakiewicza zaprosiny te i ich serdeczność — rzecz dziwna! — nie ucieszyły, lecz zadziwiwszy zrazu, rozlały po niem owezem zasmucenie czy zamyślenie. Ciszej nieco niż mówił zwykle, odpowiedział:

— Dziękuję panu dobrodziejowi, bardzo dziękuję... ale odwykłem.. a prawdę powiedziawszy, do takich kompanii i nigdy przyzwyczajony nie byłem... Jak dzik — odyniec pomiędzy drzewami leśnemi, tak ja samotny pomiędzy ludźmi chodzę i nikt mnie ani bratem ani swatem nie jest. Szelma dola taka... ale co robić? Kiedy Panu Bogu tak podobało się... i już niedługo... stary jestem.. więc niedługo już na tym dyabelskim świecie... Ale ot o co ja pana dobrodzieja poproszę...

W obie ręce wziął rękę gospodarza domu i, dziwnie prosząco w oczy mu swemi błyszczącemi niezapominajkami patrząc, zniżonym nieco głosem mówił:

— Niech panowie będą łaskawi w każdej potrzebie, takiej ogólnej... w każdej okazyi takiej, co to grosza, albo trochę pracy jakiej potrzeba, do mnie odzywają się... Ja chcę... ja żądam... czemkolwiek przysłużyć się... mateo... bo przecież i ja.. syn jej... a że los szelma pomiędzy samych obcych na ten świat mnie rzucił, to ja i nie narzucam się nikomu... a tylko... dyabli wiedzą, co w sercu siedzi i spokojności nie daje...

Zaczęli go wszyscy czterej coraz ściślej otaczać, coraz serdeczniej zapraszać. Niech do nich przyjeżdża, niech się bliżej z nimi zapozna, oni także odwiedzać go będą.

Ale czerwonemi rękami machać zaczął.

— Ej nie! Ej nie! Z duszy, z serca, dziękuję, ale nie! Odwykłem... nie przywykłem... dyablami jak parchek sadzę... w samotności mnie najlepiej... ogródek swój pielęgnuję... drzewka to moje dzieci... dumki smutne, moi goście. Żegnam państwa dobrodziejstwa, żegnam, dziękuję!

I szedł ku wyjściu w swojem dziwnem figarze, z żałosną frendzią.

Ale my znowu tak bez niczego rozstać się z nim nie mogłyśmy i przy drzwiach go dopadłszy, — Boże drogi! — czegośmy mu nie nagadały! Jakiemiśmy go miłemi, serdecznemi słowy nie osypały! Zdaje się, że hrabina parę razy pieszczotliwie go po ramieniu pogłaskała... Zdaje się nawet,— choć tego nie zupełnie pewna jestem, — że czerwone policzki jego, srebrnawą kądzielą otoczone, od Oktuni, Winousi i odemnie dostały trzy całusy...

* * *

I potem dopiero, po odjeździe p. Burakiewicza — odbył się nad nami sąd, nie sąd parów, broń Boże, ale daleko wyższy, bo naszych i wszelkiego stworzenia panów.

A kiedy przy obiadowem stole bardzo już gderaniem nas nudzili i wyrzutami oburzali, Czernisia, która z nami dnia tego obiad jadła, wyprostowała na krześle swoją długą postać i z czarnemi oczkami jak żużelkami gorejącemi, rzekła:

— A mnie się zdaje, proszę panów, że kiedy pan Burakiewicz przebaczył i jeszcze podziękował, to i przez wszystkich przebaczonem i zapomnianem być powinno... Nie dla samych siebie przecież panie polę tę ucinały, ale dla szczęśliwości publicznej.

Miała słuszność Czernisia. Po dniu tym i całej tej wiośnie, nastąpiła u nas taka szczęśliwość publiczna, że aż — ha!

Eliza Orzeszkowa.

Przypisek Redakcyi. Powyższy obrazek wyjęliśmy ze zbioru opowiadań Orzeszkowej z r. 1863. Zbiór ten „Gloria victis“, wydany już po śmierci autorki, nakładem W. Makowskiego w Wilnie, najgorręcej polecamy naszym Czytelnikom.

i z owej piersi, wyrwał się niespodziewany, tłumiony szloch. Niejednemu z wiarusów, który sto razy patrzył na śmierć, teraz drżały wąsy i z pod surowych powiek leciały szybkie i gęste, jak grad łzy...

Zabrzmiały słowa komendy: — W drogę, marsz! — i kolumna ruszyła naprzód. Lecz gdzież się podziały ślady poprzedniego wyczerpania, utrudzenie i znój? Żołnierzom wydawało się, że mają mięśnie ze stali i że tak oto mogą iść bez spoczynku i przerwy, aby jeno bliżej, aby bliżej....

Postawy wyprostowane, piersi pełne tchu i sił, na twarzach czarnych od znoju, radość i zapał. Sierżant Zadera nie ma nic do roboty: chłopcy trzymają się szeregu, jak jeden, i walą naprzód ostro, aż echo gromko tętni w skałach. Sroga twarz sierżanta, zbrużdżona śladami trudów, dziwnie zmiękła, szare oczy z pod siwych brwi patrzą przed się niemal z rozrzewnieniem.

— Patrzcie, chłopcy, — mówi śród marszu półgłosem do najbliższych w szeregu — jaki-ci to nasz jenerał. Przywiódł-ci on nas na obczyznę, przykazał tę oto anzuońską ziemię zdeptać wszerz i wzdłuż, a tłuc austryski i sardyńczyki — za wolność, powiada, uciemiężonego ludu.... I, zdawało się, jakby nie.. A on weźmą przemyśliwał, jakby do Ojczyzny, do Polski.... Aż oto wymyślił! On nas tu przywzał, on ci też nas i wywiedzie z tej ziemi egipskiej i zaprowadzi do Polski.. On jeden wszystko!.. Pamiętajtaż, chłopcy, za niego, gdyby trzeba było, w ogień i wodę, za niego — choćby na śmierć!...

— Ojciec-to nasz!.. — ozwały się gorące głosy w szeregu.

Naraz huk strzałów wstrząsnął powietrzem i stokrotnem echem odbił się w skałach. Grad kul świsnął nad głowami żołnierzy, tu i ówdzie w szeregach człowiek jęknął i zwalił się na ziemię. W kolumnie wszczęło się zamieszanie; przednie szeregi zwolniły kroku, następne natomiast zaczęły napierać gwałtownie.

Lecz w tejże chwili zabrzmiał donośny głos komendy:

— Baczność: Zwrot w lewo! Dwójkami, biegiem! Marsz!

Kolumna wyciągnęła się jak wąż i rzuciła się w wskazanym kierunku w bok, przemykając się tuż u stóp olbrzymiej ściany skalnej, zupełnie prostopadłej. Manewr ten, wykonany jaknajsprawniej, uchronił kolumnę od dalszych strat. Pod osłoną pionowej skały batalion znalazł się w zupełnem bezpieczeństwie, poza polem działania bandytów, którzy się zasadzili na szczycie góry, po tej stronie wąwozu. Przytomność umysłu dowódcy i sprawność żołnierzy wywiodły kolumnę obronną ręką z tej zasadzki trzymając się ciągle u samych stóp skały; posuwała się ona śpiesznie naprzód, mając uwagę wciąż zwróconą na szczyt przeciwległy, po prawej stronie wąwozu przeciw któremu nie miała żadnej osłony.

Na szczęście nie tam nie zdradzało obecności nieprzyjaciela. Natomiast, ledwie kolumna uszła pół stajania w kierunku dotychczasowym, do Kosińskiego przypadł zdyszany żołnierz, z tych, którzy stale byli wysyłani przodem na zwiady.

— Pułkowniku! — salutował — nieprzyjaciel obsadził gardziel wąwozu i przecijał nam drogę, gdyż jak miarkuję obejść tego miejsca niepodobna.

Kosiński zatrzymał konia i namarszczył brwi. Sytuacya zdawała się groźną, gdyż kolumna mogła się dostać we dwa ognie.

— Jak stąd daleko? — zapytał krótko.

— Niedaleko całkiem, nie będzie trzystu kroków poza tą czarniawą skałą, co się wynosła na środek....

— Co za wojsko? Górale? — badał dalej dowódca.

— Musi być i żołnierz regularny — widziałem barwy na mundurach.

Kosiński zatrzymał swój batalion i sformował kolumnę do ataku. Zaczem krótko przemówił do żołnierzy:

— Wiara! nieprzyjaciel zamknął przed nami wyjście z wąwozu. Pokażcie, iż umiecie przełamać wszystkie zapory w drodze do Ojczyzny!

Poczem głosem zniżonym zakomenderował:

— Batalion — do boju! marsz!

Kolumna twardym krokiem ruszyła naprzód. Garście chwyciły mocno oręż, pałały twarze. Z pod namarszczonych brwi patrzały surowe, skupione oczy. Patrzyły nieustraszenie — wprost w oblicze śmierci.

Gdy kolumna wyszła poza załom skalny, zamajaczył przed nią wylot wąwozu. Coś się zapatrzyło, zaczerniało w jego głębi. I naraz runęła salwa strzałów i biały dym wykwitł w skalnej gardzieli, nakształt wielkiego obłoku.

Świst kul tuż nad głowami, jęki rannych. Wszystko to głuszy komenda:

— Broń do ataku! Na bagnety! Biegiem — marsz!

Serca o deski piersiowe uderzyły młotem. Ciała jednym rzutem pochyliły się naprzód — i kolumna w zwartych szeregach runęła w gardziel wąwozu.

W niespełna pacierz batalion znalazł się u wylotu. Piersi pełne tchu, ramiona stężone, gotowe do ciosu. Lecz gdzież nieprzyjaciel? Nie spodziewając się takiej, furyi natarcia, pospiesznie uszedł z placu. Oto rozprasza się po polu w prawo i w lewo, dając w kierunku zwycięzców rzadkie strzały.

Pod wieczór, nie będąc już niepokojona przez nieprzyjaciela, kolumna stanęła w Cordojo, a nazajutrz, po równie forsownym przemarszu, dotarła do Palmanowy. Tam zastano już niektóre inne oddziały, wchodzące w skład legii. Po mieście krążyły jakoweś posłuchy o przedwstępnych układach pokojowych, jakoby spisanych w Leoben, o bliskiem zakończeniu wojny. Nie sposób było powziąć pewnej wieści.

Dnia następnego zajaśniał cudny poranek. W błękicie niebezpieczeństwem unosiło się promienne, jak brylant, słońce. Wczesnem rankiem szeregi wyciągnęły się na placu zbornym. Żołnierz był wypoczęty, pełen sił i ochoty do marszu. Oczy wiarusów obracały się wciąż ku stronie wschodniej, ku niedalekiej granicy, a marsowe ich twarze miały w sobie jakby uśmiech wewnętrzny, jak gdyby w tej wschodniej, lazurowej dali upatrywały coś upragnionego i niezmiernie drogiego.

Przed frontem kompanii zjawili się oficerowie, jacyś dziwnie bladzi i zmienieni. Zwolna się zbliżył szef batalionu, Kosiński. W szeregach zaległa cisza. On zaś zwrócił się do żołnierzy i przemówił:

— Wskutek układów pokojowych, zawartych pomiędzy Francyą a cesarzem, wszelkie działania przeciw armii austryackiej zawieszono. Tem samem upada wszelki pozór do wkroczenia w granice monarchii. Mamy rozkaz odbyć marsz wstecznym kierunku Treviso.... spełnienia zaś nadziei naszych możemy oczekiwać jedynie — w przyszłości...

Głuche milczenie zaległo śród szeregów. Smagłe, spalone na wiatrach i słońcu twarze wiarusów stały się jakby o jeden ton bledsze, ramiona jakby straciły dotychczasową prężność i obwisły pod ciosem strasznego przygnębienia.

W tej samej chwili rozległa się komenda:

— Kolumna — zwrot w lewo! marsz!

Szeregi ruchem automatycznym wykonały nakazany obrót. Tępy, miarowy odgłos tysiąca stóp wypełnił ciszę — i kolumna zaczęła się oddalać po gładkiej, białej drodze, zalanej słońcem.

Stanisław Ostrowski.

Sprawa obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej

na Sejmie Rozbiorowym w Grodnie 1793 r.

Jenerał Moellendorf, naczelny wódz oddziałów pruskich, wysłanych na zabór ziem polskich, a zarazem komisarz okupacyjny, posłuszny rozkazom swego króla, przekroczył linię graniczną, oznaczoną w konwencyi petersburskiej, posunął granicę przez Wartę aż po Pilicę i tym sposobem zabrał na rzecz Prus miasto Częstochowę.

Przestrzegał go przed tym czynem poseł pruski w Warszawie, Buchholz, — przestrzegał baron Sievers, ambasador rosyjski, — przestrzegało i Ministeryum Berlińskie. Ale Moellendorf nie zważał na te przestrogi. Sądził bowiem, że ze względów strategicznych, niepodobna po stronie polskiej zostawić twierdzy jasnogórskiej, podówczas jeszcze dość silnej, a granicę pruską pociągnąć tuż pod jej murami. Więc nie pytając się wiele, zagarnął Częstochowę 13 marca 1793 r. Wzamian za to musiały Prusy później oddać przyznane im w konwencyi petersburskiej dwa miasta: Sochaczew i Skierniewice.

Dość, że w czasie obrad Sejmu Grodzieńskiego (sierpień i wrzesień 1793 r.), Częstochowa była zajęta przez wojska pruskie. Układy z Rosyą oraz jej przedstawicielem, baronem Sieversem, już były ukończone. Rozpoczęły się obrady poszczególnych deputacyj sejmowych z pełnomocnikiem pruskim, Buchholzem.

Przy artykule piątym traktatu rozbiorowego, oświadczyli trzej senatorowie duchowni; biskup wileński, książę Massalski, biskup chełmski (obrządku wschodniego), Porfiry Skarbek Ważyński, oraz biskup inflancki, Jan Kossakowski — w imieniu wszystkich posłów sejmowych, że w razie, gdyby Polska musiała ostatecznie oddać pod berło króla pruskiego miasto Częstochowę, wynikałby dla wszystkich Polaków święty obowiązek stanowczego domagania się zwrotu sławnego obrazu Najśw. Panny Maryi z rąk pruskich. A to dlatego, że Najśw. Panna Marya, wolą całego narodu, w najuroczystszy sposób, obrana została na Królowę, Patronkę i Orędowniczkę Korony Polskiej, nadto, że ten starodawny zabytek i pomnik pobożności przodków uważanym jest jako skarb i własność całego narodu, że więc nie można go się wyzbyć, ani go zostawić w kraju, gdzie religia katolicka nie jest panującą.

Poseł i pełnomocnik pruski, Buchholz, odpowiedział na to: że obraz ten jest jedynie i wyłącznie własnością kościoła jasnogórskiego, usunięgo stamtąd byłoby zatem pokrzywdzeniem tegoż kościoła; że obywatele polscy, znajdujący się już teraz pod panowaniem pruskiem, tak samo są katolikami i przywiązują tę samą wagę do zatrzymania obrazu w Częstochowie; że wreszcie, chociaż religia rzymsko-katolicka nie jest w Prusach panującą, niemniej będzie ona zażywała zupełnej swobody i wolności. Z tych więc wszystkich powodów, nie może się zgodzić na żądanie deputacyi.

Mimo tej odpowiedzi, oświadczyła jednak deputacya, że gdyby kiedykolwiek miała pod przymusem podpisać się na wydanie Częstochowy Prusom, nigdyby wszakże nie zrzekła się swego żądania co do przeniesienia obrazu — i to swoje oświadczenie kazała zapisać do protokółu obrad.

W kilka dni później odbyło się nowe posiedzenie tej samej deputacyi i wtedy poseł pruski oświadczył, że chociaż wydanie obrazu będącego własnością klasztoru częstochowskiego, sprzeciwia się treści artykułu V., mocą którego wszelka własność kościelna została dawnym posiadaczom zagwarantowana i zapewniona, dwór jego jednak prawdopodobnie zgodzi się na to żądanie ze względu na wartość, jaką Polska zdaje się przywiązywać do tego obrazu. Sądzi wszakże, że przeniesienie obrazu z Częstochowy do Warszawy nie da się uskutecznić bez poprzedniego pozwolenia Stolicy Ś-tej.

Z polskiej strony odpowiedziano na to Buchholzowi, że w sprawie przeniesienia obrazu świętego z jednego miejsca na inne, nie potrzeba odnosić się do Stolicy Apostolskiej, tego rodzaju rzeczy załatwiają biskupi sami; że w Polsce bywały już nieraz przykłady takich przenosin; że nawet przed kilku laty istniał zamiar przeniesienia rzeczonego obrazu z Częstochowy do Krakowa; że wreszcie sprawa ta polecono została deputacyi najwyraźniej przez stany sejmowe; że więc przez usta jej przemawia cały naród.

Pan Buchholz, choć przysłowiowo mądry,[1]) nie umiał sobie z deputacyą dać rady w sprawie obrazu jasnogórskiego. Sądził, że dowiepnem odwołaniem się do Rzymu, zbije z tropu senatorów i posłów polskich, duchownych i świeckich; że w istocie pójdzie zapytanie do Papieża i tym sposobem rzecz się na kilka tygodni, może i miesięcy odwlecze, a tymczasem obrady i układy jego z deputacyą sejmową przejdą do następnych punktów i posuną się naprzód. Ale się omylił.

Więc pcha z Grodna posłańca do Berlina po wskazówki, jak postąpić: czy w razie uzyskania dla Prus Częstochowy, — o czem prawie nie było wątpliwości, — pozwolić wywieźć obraz cudowny do Warszawy, czy też nie wydać go z Jasnej Góry?

Reskrypt ministeryalny z dnia 7 września 1793 r., wystosowany w odpowiedzi do p. Buchholza, a podpisany przez dwóch ministrów, mocno był niewyraźnym i ogólnikowym. Ministeryum Berlińskie wyraża nadzieję, że sprawa obrazu jasnogórskiego nie powstrzyma dalszego toku obrad Sejmu, że przykro byłoby i nieprzyjemnie ustępować przed wolą stanów sejmowych, bo nie chodzi rządowi pruskiemu tyle o sam obraz, jak raczej o opinię publiczną. Zresztą niechaj w tym przedmiocie rozstrzygają okoliczności danej chwili.

[1]) *Da kennst du Buchholzen schlecht* — przysłowie.

Mimo tego obojętnego i niejasnego ukazu, nie poprzestano w Berlinie myśleć i radzić o obrazie częstochowskim, bo w niespełna tydzień później, 13 września 1793 r., drugie orędzie urzędowe wysłano do Grodna p. Buchholzowi

W piśmie tem ministrowie uwiadamiają swego pełnomocnika, że odstąpili od chęci zatrzymania w Częstochowie cudownego obrazu. Można go zatem Polakom, którym tak bardzo na nim zależy, wydać.

W razie jednak, gdyby wydanie obrazu miało być w traktacie rozbiorowym wyraźnie zaznaczone, baron Sievers, zastępca Rosyi, zechce uznać, że ze względu na protestanckiego króla pruskiego, nie można obrazu nazwać w tymże traktacie „prawdziwym wizerunkiem Najświętszej Panny," lecz jedynie „obrazem Panny Maryi".

Tak więc zanosiło się na to, że cudowny obraz z Jasnej góry zostanie usunięty i przeniesionym do Warszawy. Ale przy targach i układach robiono rachunek bez gospodarza. Ani polscy posłowie sejmowi w Grodnie, ani Buchholz i ministrowie pruscy w Berlinie nie liczyli się z możliwością, że i sama Jasna góra, jako najwięcej interesowana będzie chciała w tej tak ważnej dla siebie sprawie zabrać głos I odezwała się w rzeczywistości głosem usilnego protestu przeciw wywiezieniu cudownego obrazu.

O układach grodzieńskich gruchnęła wieść w Częstochowie i rozeszła się lotem błyskawicy z klasztoru w kilkomilowym promieniu okolicznym, wywołując u ludności powszechne i głębokie niezadowolenie.

Moellendorf, rozlokowawszy się na spornym dotąd terenie częstochowskim, bacznem okiem śledził wszystkie przejawy radości i zadowolenia, lub też niechęci miejscowej ludności wobec nowego rządu pruskiego. Zrozumiał odrazu, że ustępstwo króla i — co za tem szło — wywiezienie obrazu, jeszcze bardziej podnieci i tak już mocno wzburzone umysły mieszkańców Częstochowy i okolicznych powiatów.

Pisze tedy obszerny memoryał do Berlina pod dniem 12 września, a przedstawiwszy sprawę w odpowiedniem do zamierzonego celu świetle, wyjaśnia ministrom wielce niebezpieczne następstwa, jakieby niechybnie powstały wskutek wydania cudownego obrazu Najśw. Panny i błaga na wszystko, by król temu przeszkodził. W memoryale tym wspomina Moellendorf, że przy zajęciu twierdzy jasnogórskiej, dał klasztorowi uroczystą i formalną obietnicę pozostawienia obrazu na miejscu. Zależy mu więc niezmiernie wiele na tem, by słowa danego mógł dotrzymać i tym sposobem uzyskać przychylność zakonników i ludu wiernego.

Niezwłocznie po odebraniu pisma Moellendorfa, zebrali się ministrowie pruscy na naradę. Wynikiem tej narady był dokładny raport w sprawie częstochowskiej, ułożony dla króla. Ministrowie przyznają, że dopiero po memoryale Moellendorfa zrozumieli należycie ważność i znaczenie obrazu jasnogórskiego. Tłumaczą zarazem królowi, że żadną miarą nie można spełnić żądania Sejmu Grodzieńskiego, bo niebezpieczeństwa, jakieby stąd wyniknąć mogły dla Prus, bardzo byłyby groźne. Równocześnie wysyła Ministeryum osobnego kuryera do Grodna z rozkazem, ażeby p Buchholz nietylko nie ustąpił przed wolą stanów sejmowych, ale owszem niezłomnie żądał, ażeby obraz jasnogórski pozostał nadal w klasztorze.

Tymczasem mepokój w Częstochowie, szczery czy sztuczne podsycany, wzmagał się z dniem każdym. Moellendorf uspokajał umysły, jak tylko mógł. Na własną rękę kazał z ambon zapowiedzieć, że jeżeliby kiedykolwiek obraz cudowny miał być z klasztoru wywieziony, nie nastąpiłoby to jeszcze w chwili obecnej, tylko może później. Ale wszystko na nic.

W klasztorze zaś ułożono w tym czasie suplikę do króla pruskiego o zachowanie *status quo*, t. j. przyrzeczeń danych przy kapitulacyi Jasnej góry na rzecz Prus, w dniu 13 marca 1793 r. W akcie kapitulacyjnym najwyraźniej zapewniono klasztorowi posiadanie obrazu cudownego. Zakonnicy przypominają to królowi i proszą o odnowienie i potwierdzenie tej obietnicy.

Pismo zakoników, wraz z własnym raportem, wysyła Moellendorf znowu przez osobnego gońca do Berlina. Tym razem wskazuje w tonie jeszcze jaskrawszym na grozę sytuacyi i na możliwość niepokojów i zaburzeń, któreby snadno nawet na Śląsku powstać mogły, bo lud tamtejszy szczególniejszą otacza cześią cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Raport Moellendorfa oraz piśmienne podanie zakonników wysyłają ministrowie sztafetą do króla, bawiącego po za Berlinem, proszą go, by zechciał na suplikę klasztoru dobrotliwie odpowiedzieć i dać jak najuroczystsze zapewnienie, że się nigdy nie zgodzi na zabranie obrazu z Częstochowy.

Na własną odpowiedzialność zaś, bez uprzedniego powiadomienia króla, dają brabiemu Haymowi, namiestnikowi Śląska, rozkaz, by zaweczasu uspokajał swoich śląskich podwładnych, zapewniając ich, że obraz cudowny na Jasnej górze pozostanie.

I tak się też stało. Żądanie Sejmu Grodzieńskiego nie znalazło poparcia u barona Sieversa, który osiągnąwszy dla swego dworu wszystko, co chciał i miał osiągnąć, obojętnie patrzał na przebieg układów Sejmu z Buchholzem. A kiedy tenże zrobił ze sprawy obrazu jasnogórskiego kwestyę stanu, posłowie, chcąc nie chcąc, musieli ustąpić wobec przemocy.

Tak więc cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej był przez 13 lat — do roku 1806, pod panowaniem pruskiem.

Ks. Leon Rankowski.

Vischer czy Stwosz?

Jeszcze nie przebrzmiały echa polemik co do narodowości Kopernika, który, wbrew twierdzeniom uczonych niemieckich — był jednak Polakiem, co stwierdzają nowe, przypadkowo odnalezione w archiwach w Sztokholmie jego listy do króla polskiego — gdy nowego odkrycia dokonał p. Ludwik Stasiak; o ile się ono potwierdzi, to narazi naukę niemiecką na kompromitacyę. Oto w książce swej p. t. „Prawda o Piotrze Vischerze" udowadnia p. Stasiak, że dzieła, przypisywane Piotrowi Visscherowi, nie są jego dziełami, lecz Wita Stwosza. Zanim pokrótce zapoznamy się z tą książką, zastanowić się trzeba nad pytaniem, czy jest rzeczą możliwą, by człowiek, który tak wsławił się arcydziełem w Maryackiej świątyni w Krakowie, na tem zakończył swą działalność; niepodobna przytem przypuszczać, ażeby przed okiem historyi ukryło się imię Vischera w Polsce, który, według Niemców, miał odlać tyle pomników

Oto co o tej kwestyi pisze p. Stasiak:

„Z końcem XIV w. i początkiem XV była w Norymberdze sławna odlewarnia Vischerów. Vischerzy ci poza swój fach rzemieślniczy nie sięgali nigdy wyżej. Odlewali to, co im wykonać kazano, względnie, co im jako model przyniesiono. Był odlewaczem ojciec Herman Vischer, po jego śmierci Piotr Vischer, a następnie Hans i Jong Vischer. Mieli wielką odlewarnię i tak sławną na całe Niemcy, że panowie wieley i książęta, jak mówi prawie współczesny kronikarz Neudorfer, przyjeżdżali, ażeby pracownię Vischerów oglądać. I jakkolwiek z ich pracowni wychodziły rzeczy niezmiernie piękne i ogromem swym wzbudzające podziw, to jednak niema nigdzie wzmianki, by oni swe rzemiosło zmienili, i ażeby oni byli twórcami wspaniałych tych prac, które im przypisują. Nawet historya sztuki nie znała wcale do niedawna żadnego artysty Vischera — lecz dopiero ostatni autorowie niemieccy wynaleźli Vischera, jako wielkiego artystę rzeźbiarza".

I nikt nie miałby nic przeciw temu, gdyby to odkrycie nie było połączone z uszczerbkiem kulturalnym dla nas.

Oto autorowie niemieccy Bergan i Daun, w licznych pracach, które p. Stasiak uważa za dzieła naszego Wita Stwosza, upatrują twory owego Vischera. W książce swej p. Stasiak temu zaprzecza, na mocy dowodów historycznych oraz faktów, które stwierdzają, że uczeni niemieccy działali w złej wierze, niejednokrotnie fałszując źródła historyczne, naginając je do swej woli i potrzeby, a bardzo często omijając je starannie, by nie potrącić o ślad dla wyników badań swych niekorzystny. Wreszcie autorowie ci opierają się tylko na przypuszczeniach, prawdopodobieństwach i t. d., które mają stwierdzać, że dzieła owe są tworami Vischera.

P Stasiak nie zaprzecza bynajmniej, że arcydzieła te wyszły z pracowni Vischera, wyszły one jako odlewy, zaś modele były dziełem Stwosza. Praca p. Stasiaka ma więc za zadanie stwierdzić, że przypisywane Vischerowi dzieła są w znacznej części dziełami Stwosza, oraz unicestwić twierdzenia niemieckich uczonych. Z całą bezstronnością przyznać trzeba, że p. Stasiak z trudnego zadania wywiązał się znakomicie.

Na poparcie twierdzenia, że Vischer nie był artystą, lecz zwykłym rzemieślnikiem, przytacza zapiski rady miejskiej z owych czasów, które mówią o wykonywaniu różnych odlewów, ale o rzeźbieniu, modelowaniu nie wspominają nic — owszem znajduje p. Stasiak w szeregu źródeł potwierdzenie, że modele doń przysłano gotowe, że np. biskup krakowski Tomicki, dając mu do wykonania kratę do kaplicy wawelskiej, na jego życzenie właśnie dostarcza mu modelu, który wykonał brat Stanisław z Mogiły.

Jeśliby Vischer był tak sławnym artystą, to przecież lepiejby umiał sporządzić model do kraty, niż jakiś nieznany mnich. Całym szeregiem dowodów popiera p. Stasiak autorstwo Stwosza co do polskich śpiżów w Krakowie i Wielkopolsce — wykazuje, że Vischer, o ileby je wykonywał, musiałby je wykonywać jako czeladnik — co w wielkich dźwoeszych było rzeczą niemożliwą. Dalej wskazuje jeszcze na niedokładność wywodów niemieckich autorów, którzy w gotyce wykształconemu Vischerowi, nie mającemu pojęcia o renesansie, każą w Polsce wykonywać renesansowe pomniki, a wszak wiadomo, że do Polski renesans wcześniej się dostał, niż do Niemiec, a w Norymberdze przed 1518 r. nie jest znany.

Autorstwo prac Vischera opierają uczeni niemieccy na podpisach jego na grobowcu św. Sebalda w Norymberdze i upodobniają i inne do tegoż dzieła, czyniąc przypuszczenia, oparte na wielkiem podobieństwie tych dzieł. Tymczasem p. Stasiak i te twierdzenia obala. Stwierdzając, że jakkolwiek na grobowcu św. Sebalda jest podpis Vischera, to jednak dotyczy to jego pracy odlewawczej, natomiast wykazuje autor, że Stwosz na zamówienie rady miejskiej wykonał wielkie i małe wzniesienie, za które rada miała mu wypłacić ogromną sumę (a więc dzieło musiało być znaczne) i tej sumy mu nie wypłaciła, a sprawa sporna zakończyła się uwięzieniem Stwosza w 1506 r., poczem Vischer bez przeszkody, mając za model pracę Stwosza, dzieło to wykonał w metalu, zeszpeciwszy je tylko nieco. Na dowód załącza p. Stasiak zachowany rysunek dzieła Stwosza, orez pomnik św. Sebalda, odlany przez Vischera.

Podobnie rzecz się miała z arcydziełami w Insbrucku. Vischer został zamówiony jako odlewacz, Stwosz jako rzeźbiarz.

Ani wieki współczesne, ani późniejsze nie znały Vischera jako rzeźbiarza, lecz tylko jako odlewacza, właściciela bardzo wielkiej odlewarni. Współczesny prawie Neudorfer tak też zna Vischera, choć o nim i jego wielkich odlewach obszernie się rozwodzi, choć zresztą wymienia Stwosza — i szereg innych późniejszych artystów, jako rzeźbiarzy.

Rzeźbiarzem zrobili Vischera dopiero niedawno uczeni niemieccy tylko dlatego, że nauka polska zaniedbała tak wielkiego artysty, jakim był Stwosz, i pozwoliła jego arcydziełą, które na obczyźnie budziły zachwyt, a pod względem autorstwa były *res nullius* — zaanektować na rzecz Vischera. Ale nietylko na obcej ziemi zrabowano dzieła polskiego artysty na rzecz Vischera, ale odważono się przywłaszczyć dzieła krakowskie i wielkopolskie i uznać je za twory kultury niemieckiej

Poruszoną przez p. Stasiaka sprawą powinna się zająć szczerze nauka polska, a skoro fakta zostaną potwierdzone, światu cywilizowanemu obwieścić, w jaki to sposób Niemcy na długi czas przed ustawą o wywłaszczeniu wywłaszczali z kultury nasz naród, obierając go z najpiękniejszych arcydzieł.

Rada Narodowa.

(Komunikat Polskiej Ligi Narodowej).

Zarząd Ligi Narodowej uchwalił w roku ubiegłym popierać usilnie dążenia do odrodzenia Rady Narodowej w Galicyi, jako ważnego czynnika politycznego, który stać powinien na straży ogólno polskich interesów i łączyć zbyt niestety liczne i żarliwe stronnictwa nasze do wspólnej i wydatnej pracy obywatelskiej. Jest to bowiem zjawiskiem łatwo zrozumiałem, że żadne stronnictwo nie może służyć sprawie narodowej tak szczerze i tak skutecznie, jak zespół wszystkich dzielnych sił politycznych całego narodu, nie mający w swym programie innych celów ubocznych, ani demokratyoz-

nych, ani stanowych, ani socyalnych, ani też religijnych.

Wiadomem też było Zarządowi P. L. N., że utworzenie Rady Narodowej napotykało wielkie trudności z powodu dążenia każdego „stronnictwa" do zapewnienia sobie znaczniejszego wpływu na tok spraw.

Ostatecznie jednak doszło do pewnego porozumienia między naszymi politykami, którego wynikiem było przyjęcie „Regulaminu Rady Narodowej" na zebraniu posłów polskich dnia 8. października b. r.

Stwierdzając fakt, że R. N. na razie jeszcze nie została utworzona, przypatrzmy się nieco jej regulaminowi, aby z tej jedynej dotąd podstawy wywieść ogólny pogląd na jej ustrój, skład, dążenia i przyszłość.

Nowa Rada Narodowa ma mieć główną siedzibę we Lwowie i zbierać się zwykle podczas okresu sejmowego. Będzie ona głównie organizacyą wyborczą, (§ 9) powołaną przez „Polskie Koło poselskie", wedle pewnego planu czyli klucza określonego ustępem 3-cim regulaminu, tak że stosunek sił poszczególnych stronnictw w Radzie będzie już z góry ustalony. Na 30 członków Rady wybierają:

2 stronnictwa konserwatywne po 5 .	10
demokracya polska	5
„ narodowa	5
ludowcy	5
centrum	2
chrześcijanie	1
posłowie niezawiśli	2

Wyboru dokonywują powyższe grupy posłów, zatwierdzenia zaś wyboru Koło poselskie.

R. N. będzie więc zespołem posłów albo ich zaufanych, zasiadających w niej nie jako ludzie wolni, tylko jako zastępcy stronnictw i wykonawcy ich poleceń.

Taki ustrój nie jest oczywiście zupełnie dobry, bo skład R. N. zależeć będzie najpierw od wpływu ordynacyi wyborczej, która zgóry przesądza, jakiego typu posłowie wejdą do parlamentu i Sejmu, następnie od stronnictw i ich kierowników, wreszcie od inteligencyi i liczby posłów obecnych podczas wyboru.

Wobec tego R. N. będzie tylko pewną odbitką tych uprawnień wyborczych i nastrojów, jakie dzsałały podczas poprzedzających dany okres wyborów posłów, będzie więc zatedwie częściowym i spóźnionym obrazem woli społeczeństwa polskiego.

Wyłączny wpływ posłów i stronnictw w Radzie, a wykluczenie ludzi niezawisłych od „wyborców" i „partyi" i bezpośredniego wpływu twórczych sił społeczeństwa są wadami bardzo poważnemi.

Wiedząc jednak z doświadczenia praktycznego, jak mało naród nasz posiada istotnej łączności — powitamy utworzenie Rady Narodowej z radością, jako objaw nienstannego dążenia do jedności narodu i obrony wspólnych jego interesów, jako ustrój cenny dla wychowania naszych działaczy partyjnych do wyższej i użyteczniejszej niż dotąd pracy obywatelskiej.

Tam różne stronnictwa będą się mogły zetknąć i porozumieć bezpośrednio, przekonać jak marne dzielą ich od siebie frazesy i urojenia, zobaczyć ile sił i życia zużywa się niepotrzebnie na zwalczanie słowem i pismem innych rodaków, którzy tych gorących wywodów innych partyi ani nie słyszą, ani nie czytają.

Dalszy zaś, stopniowy rozwój, jako też ścisłe porozumienie Rady Narodowej z Towarzystwami Narodowemi, będącemi przedstawicielami bezpośredniej woli narodu, poprowadzi ją naprzód po dobrej drodze rozumnej i ofiarnej pracy obywatelskiej.

Życzymy więc nowo odradzającej się Radzie Narodowej jak najświetniejszego rozwoju i oczekujemy od niej działalności wysoce użytecznej dla dobra narodu naszego w tym kraju!

Edwin Hauswald.

Przypisek redakcyi. Komunikat powyższy P. L. N. napisany został przed wyborem członków Rady Narodowej. Wybór ten, niestety, niezbyt szczęśliwy, zmniejsza nadzieje przywiązane do Rady, a raczej stwierdza obawy wyrażone w artykule.

„Loterya liczbowa" w Galicyi.

W miesięczniku statystycznym, wydawanym przez komisyę centralną w Wiedniu, p. Oppolzer zestawia ciekawe dane o tak zw. „loteryi liczbowej", stanowiącej — jak wiadomo — monopol państwowy w krajach monarchii austryackiej. Oczywiście najbardziej interesują nas liczby, dotyczące Galicyi.

Oddawna wytykiwano na groźny hazard loteryjny, który grasował w Galicyi równie pustoszącego jak alkoholizm, ale nie może jaskrawiej nie popiera wywodów przeciwników „loteryjki", jak same liczby. Dość przytoczyć, że w roku 1907 ludność Galicyi wydała na loterye 4.410 tysięcy koron, wygrała 2.285 tysięcy, zatem straciła w jednym roku 2.125.000 koron! Większemi liczbami bezwzględnemi poszczycić się może tylko Austrya Dolna i Czechy.

Dwa i ćwierć miliona!... Liczby za te pieniądze można było zaspokoić potrzeb krajowych, gdyby stracone kapitały zatrzymano w kasach oszczędności, nie mówiąc już o rzeczywistem wzmożeniu się dobrobytu mas. Słusznie też pisze w *Słowie polskiem* p N. M. referujący tą sprawę: „Może galicyjskie Towarzystwa oświatowe zwrócą uwagę na te liczby i wypowiedzą walkę namiętności loteryjnej, grasującej wśród naszego ludu równie szkodliwie jak alkoholizm. Gdyby ich usiłowaniom udało się zatrzymać w kraju te miliony w tutejszych instytucyach oszczędności, zasługa ich byłaby niepoźta. Wiemy zaś, że grają w loteryę w Galicyi tylko najuboższe warstwy miejskie którym nizka stawka grę umożliwia. I dlatego właśnie loterya liczbowa najzgubniej działa pod względem społecznym i jest wskutek tego instytucyą na wskróś niemoralną tem więcej, że jest instytucyą państwa tego samego, które na innych polach wprowadza tyle socyalnych reform."

Wogóle interesujące są i pozostałe dane, dotyczące „obiegu" loteryi. Ilość stawek wynosiła w całem państwie austryackiem 86.409.000 o wysokości 32.161.000 koron, czyli na jednego mieszkańca państwa wypadło według stanu ludności z końcem grudnia 1906 roku 3.72 stawki średniej wysokości 1 kor. 16 hal. Każdy mieszkaniec państwa złożył zatem w r. 1907 dobrowolny datek loteryjny w kwocie 1 kor. 16 hal.! Rozkłuwszy te liczby na niektóre ważniejsze kraje, otrzymamy w roku 1907 na każdego mieszkańca:

	wkładek	wysokości
w Austryi dolnej	10·9	4·24
w Austryi górnej	2·9	0·94
w Styryi	2·7	1·03
w Czechach	2·6	0·96
w Galicyi	1·6	0·56
na Bukowinie	0·6	0·28

Galicya zajmuje w rzędzie wszystkich krajów koronnych co do względnej ilości stawek miejsce dziewiąte, co do względnej wysokości stawek ósme. Wniosku jednak dla Galicyi korzystnego o małej u nas namiętności do gry loteryjnej z tego bynajmniej wyciągać nie można, gdyż decydującym czynnikiem jest tu sposobność do gry. ta zaś zależy od ilości kolektur loteryjnych. Liczby wykazują istotnie zadziwiającą zależność gorączki gry od ilości kolektur. Wysoki procent w Austryi dolnej wiąże się ściśle z faktem, że tam na jedną kolekturę przypada tylko 4.100 mieszkańców. gdy w Galicyi jedna kolektura przypada na 17.500 mieszkańców. Dopiero z porównania tych dwóch danych, ilości wkładek i ilości kolektur, można wnosić o większej lub mniejszej namiętności do gry, a na podstawie tego porównania należy wydać o Galicyi sąd niekorzystny, skoro ona, zajmując co do rozmieszczenia kolektur miejsce jedno z najgorszych, bo dwunaste na 14 miejsc wogóle, wykazuje przecież co do ilości stawek miejsce dziewiąte na 14 również miejsc wogóle, mając przed sobą osiem krajów o większym procencie stawek loteryjnych. Normalnym objawem byłoby również dwunaste miejsce Galicyi ze względu na procent stawek. Skoro zaś tak nie jest i Galicya mimo mniejszej sposobności do gry gra w loteryę więcej, aniżeli dostarczona jej sposobność do gry każe się spodziewać, wypada orzec, że namiętność gry jest w Galicyi anormalnie wielka. Jakoż stwierdzają te liczby powyżej przytoczone.

Wartość wygranych w całem państwie wynosiła w roku 1907 tylko 40·09% stawek tak, że czysty zysk państwa po opędzeniu wszelkich wydatków na administracyę wynosił w roku 1906 kwotę 14.086.000 K czyli na 27.431.000 ludności 51 hal. na głowę. Skarb austryacki ma z hazardu dochód bardzo znaczny, a zarazem stwarza osobliwy podatek, oparty na namiętności ludzkiej.

Kopernik przeciwko Krzyżakom.

W piątym zeszycie *Lamusa* zaznajamia nas p. Ludwik Birkenmajer z niezmiernie ciekawym dokumentem.

„Drobny to rozmiarami — pisze autor — i niepokaźny ten półarkusz pożółkłego papieru, pokryty pismem jednego z największych geniuszów ludzkości. A jednak ile to wspomnień wzbudza on w nas, ile refleksyi, jakże dziś jest dla nas wymowny!"

I nie dziw, bo ów „półarkusz pożółkłego papieru" jest listem Mikołaja Kopernika do króla Zygmunta, listem, stanowiącym jeden więcej dowód polskości wielkiego astronoma.

Ten „Niemiec" zdaniem dr. Leopolda Prowego i innych „uczonych" niemieckich, z niezwykłą śmiałością oskarża przed królem polskim zakon krzyżacki i jego mistrza Alberta, mimo, że był to siostrzaniec Zygmunta, prosi „o opiekę i o obronę" króla polskiego, którego tytułuje „Najjaśniejszym i najmiłościwszym władcą, królem i panem najłaskawszym" i zapewnia go o swojem przywiązaniu i gotowości do kornych usług."

Ale niemniej charakterystyczny od tych wiernopoddańczych zapewnień jest sam fakt, który stanowi przedmiot listu Kopernik skarży się w nim imieniem kapituły warmińskiej na plagę niemieckiego rozbójnictwa, nasyłaną na dyecezyę przez zakon krzyżacki. Pokazuje się przytem, że Kopernik i kapituła sami sobie wymierzyli sprawiedliwość na Niemcach, ponieważ jednak takt ich odwetu dał powód do intryg i fałszywego przedstawienia rzeczy ze strony zakonu, przeto, aby postawić rzecz jasno, sam pisze do króla, usprawiedliwia postępowanie swoje i kapituły zastosowaniem się do uchwał sejmu w Elblągu i do rozkazu króla, słowem, mówiąc dzisiejszemi pojęciami, przedstawia siebie i kapitułę, jako rzeczników i wykonawców państwowych interesów polskich w walce z niemczyzną.

„Myśmy to dotychczas znosili z cierpliwością — czytamy w liście — ponieważ poświęciwszy się stanowi duchownemu, mniej mamy doświadczenia w rzemiośle wojennem. Jednakże ponieważ na walnym sejmie w Elblągu świeżo zapadła była uchwała, że wszyscy mają chwycić za oręż przeciwko tej pladze, ażeby ją wyplenić i ponieważ rozumiejąc, że jest to także postanowienie edyktem waszej królewskiej mości, nie uchyliliśmy się do obowiązku lecz owszem pierwsi staliśmy się mścicielami tak wielkich zbrodni. Albowiem gdy na początku tego miesiąca (lipca 1516 roku) na naszej ziemi ośmiu rozbójników napadło na publicznej drodze pewnego poddanego waszej królewskiej mości, obywatela miasta Elbląga i odciążywszy mu obiedwie ręce, obrabowali go ze wszelkiej majętności: burgrabia nasz, zebrawszy wkrótce małą garstkę naszych poddanych, wkroczył bezustannym marszem prawie sześć mil w głąb terytoryum za śladami owych okrutnych rozbójników, napadł na nich, wpierw, niżby się po domach rozproszyli, zajętych podziałem łupu w pewnym bagnistym lesie; schwytawszy zaś jednego z nich, szlachcica rodem z Marchii (inni uciekają się ratować)), odwiózł go z powrotem do domu, wraz z całą zdobyczą, oraz końmi i uzbrojeniem samych rozbójników, wpierw uprosiwszy i uzyskawszy pozwolenie owego rycerza, któremu podlega owa okolica, jakkolwiek pozwolenie w tym razie nie było potrzebne".

Dla bezstronnego historyka, gdyby polskość Kopernika nie była z innych względów rzeczą nieulegającą wątpliwości, ten list jeden wystarczyłby jako dowód niezbity. Potrzeba było, zaprawdę przewrotności i złej woli historyków niemieckich, oraz lekceważenia rzeczywistych faktów, a fabrykowania nieistniejących, aby z tego wroga zakonu krzyżackiego, a tem samem na owe czasy i niemczyzny, zrobić niemca.

Nie zmienił się i później Kopernik, bo jako już kanonik, w r. 1518, donosząc w liście do kapituły warmińskiej o rozbiciu się rokowań zakonu z państwem Moskiewskiem o sojusz przeciw Polsce, powiada z radością: „Tak więc runęła wszystka nadzieja naszych sąsiadów", a podczas wojny,

kiedy całą Warmię zalało krzyżactwo, „jedynie obronny zamek w Olsztynku oparł się wówczas przemocy i podstępowi drapieżcy, komendantem zaś — w pełnem znaczeniu tego wyrazu — tej jedynej twierdzy warmińskiej był... kanonik Mikołaj Kopernik“.

Później w roku 1521 z porady Kopernika kapituła warmińska „wystąpiła na sejmie w Grudziądzu wobec delegatów króla z uroczystą skargą na w. mistrza i jego zakon“, a uzupełnieniem świetnem tych faktów i dokumentów jest ogłoszony obecnie przez p. Birkenmajera w *Lamusie* własnoręczny list Kopernika, stwierdzający dobitnie i jego polskość i usposobienie względem niemczyzny.

Posiew nienawiści.

Wpadło nam w ręce sprawozdanie podolskiego bractwa prawosławnego (od końca 1906 do 1 stycznia 1908 r.). Bractwo liczyło 499 członków rzeczywistych i 3467 wspierających; w wykazie znajdujemy przedstawicieli niemal wszystkich dykasteryi, więc i gubernatora, kierowników izby skarbowej i akcyzy, gubernialnego marszałka szlachty i prezesa urzędu do spraw ziemskich, naczelnika gubernialnego zarządu żandarmeryi i dyrektora gimnazyum, dwóch wiceprezesów sądu okręgowego i burmistrza m. Kamieńca i innych. Przeważają duchowni prawosławni, którzy z urzędu są członkami bractwa.

Ustawa głosi, że bractwo, między innemi, ma na celu „przeciwdziałanie katolicyzmowi“. Pomimo to, do liczby członków rzeczywistych bractwa należy kapłan katolicki — ksiądz Stanisław, syn Jakóba, Szuman (por. „Otczot“ i t. d. str. 10)! Jest on podobno prefektem szkół w Kamieńcu, a więc kieruje wychowaniem religijnem i moralnem dzieci polskich..

Rada bractwa w okresie sprawozdawczym zajmowała się najrozmaitszemi sprawami „administracyjnemi“, w dosłownem i prawno-politycznem znaczeniu tego wyrazu. Do tej ostatniej kategoryi należy zaliczyć naprz. wystosowanie podania do władz eparchialnych „o pociągnięciu księży do odpowiedzialności za nawracanie z prawosławia na katolicyzm małoletnich bez zgody rodziców“. Dalej bractwo urządziło szereg odczytów popularnych na tematy religijne i historyczne i prowadziło nader ożywioną działalność wydawniczą, wydało bowiem 30 pism ulotnych („listków“) w 470.000 egzemplarzach, kilka broszur w 75.000 egz. Oprócz tego, staraniem i sumptem bractwa zakupiono 142.280 egz ulotnych wydawnictw antykatolickich, 35.000 egz. wydawnictw poczniowskich, około 14.000 egz. książek do nabożeństwa i t. d., które kolportowano lub rozdawano na Podolu; „wogóle— mówi sprawozdanie — posyłano to, co uznane było za pożyteczne dla ludu“. Nie stroniło również bractwo od polityki. brało bowiem czynny udział w wyborach do 2-ej i 3-ej Dumy: „bractwo zawczasu wydało — czytamy w sprawozdaniu — i rozesłało specyalną odezwę do wyborców rosyjskich, która zawierała wezwanie, aby wszyscy ludzie rosyjscy zjednoczyli się w duchu pokoju i miłości w celu wybrania posłów z łona godnych, prawdziwie rosyjskich ludzi“. O szczegółach kampanii wyborczej sprawozdanie dyskretnie milczy. A szkoda...

Nie poprzestając na sprawozdaniu — jak zwykle — szematycznem, sięgnijmy do wydawnictw prawosławnego bractwa podolskiego

Oto np., pismo ulotne Nr. 20 p. t. „Bratakoje słowo Afonskich monachiw do widpawaszich widPrawoslawia w katolictwo“. Jak widzimy, jest ono przeznaczone dla włościan, używających języka ruskiego. Na wstępie zakonnicy z góry Athos ubolewają z tego powodu, że wielu ich braci w Chrystusie poszło „do tych chytrych księży-jezuitów, którzy, jak okrutny wróg, zarzucali sieci, żeby złapać czyjąkolwiek duszę, jak ptasznę w swe pazury“. Nie należy im wierzyć, wywodzi wspomniane pismo ulotne, posługując się naprz. następującą argumentacyą: „Oprócz tego, papieże rzymscy wymyślili odpuszczenie za pieniądze grzechów, nawet grzechów przyszłych, tak więc bogaty, gdy kupi bullę papieża, może żyć występnie, bodaj nawet być rozbójnikiem, a to dlatego, że papież odpuścił mu grzechy; oto, do czego doszli papieże rzymscy“. Wogóle, z każdego wiersza listu zakonników z góry Athos przebija niepohamowana nienawiść względem katolicyzmu, każdy wiersz niemal zawiera niesłychanie obelżywe wycieczki przeciw Kościołowi katolickiemu (np. ustęp, który głosił: „szczo iden rimskij papa okazawsia ne czełowikom, a zinkoju i na weliku peczał naboźnim papistam pid czas processii wpaw w połogi, na ułyci rodiw!“) Lecz katolicyzm wobec podobnych napaści — niestety — jest bezbronny. Wszak nawet przedstawiciele władzy sądowej należą do liczby członków bractwa.

W podobnym tonie utrzymywane są inne wydawnictwa bractwa, mające na celu walkę z religią katolicką. Na każdym kroku spotykamy najdziwaczniejsze brednie, na jakie tylko wyobraźnia fanatyków nienawiści zdobyć się mogła. Pismo ulotne Nr. 17, poświęcone sprawie nieomylności Papieża, podaje np następujące szczegóły o soborze watykańskim: „Przytem jezuici zapragnęli, żeby w chwili, gdy papieżowi powiedzą: „jesteś naszym Bogiem na ziemi“, — lud ujrzał oblicze papieża, promieniejącem od świata. W tym celu jezuici urządzili w katedrze taki figiel: umieścili maszynkę z lustrem, przy pomocy której można było skierować promienie słoneczne na oblicze papieża, które stawało się promieniejącem“. Dalej pisze autor opowieści, że maszynka nie mogła funkcyonować w chwili „odpowiedniej, bo niebo zachmurzyło się i nagle piorun uderzył. „Pan Bóg piorunem tym — dodaje „Listok“ — dał obecnym znak swego gniewu względem tych, którzy odważyli się ogłosić, podobnie jak my grzesznego, człowieka — za nieomylnego Boga na ziemi“. Wniosek opowieści brzmi: „niepodobna przez taką wiarę zasłużyć u Boga na zbawienie wieczne“.

Do kategoryi wydawnictw antykatolickich należą również pisma ulotne Nr. 21 i 7, broszura p. t. „Podolski narodnyj katechizis“ i in.

Obok tego wydało bractwo podolskie szereg pism wymierzonych przeciw Polakom. „Listok“ Nr 23 nosi tytuł: „Przebudź się i posłuchaj, narodzie rosyjski, co myślą i mówią o nas Polacy! Następuje 27 cytat z pism; oczywiście cytaty te są ordynarnym fałszykatem. Bezczelność autora owego pisma ulotnego jest niezwykła: np. powołuje się on na jakieś „Kuryer Praźskij“, o którym nikt z nas nie słyszał, lub przypisuje „Kuryerowi Warszawskiemu“ słowa („wypędzajcie ze szkół język rosyjski“), których pismo to nigdy nie zamieściło, i t. d.

Wobec 27 powyższych cytat i wszystkich codziennych wystąpień polskich — konkluduje „Listok“ — niewątpliwie dojrzała rozkoszy nawet w piekle przeklinani przez Rosyę ojcowie polskiego powstania 1863 r., hr. Plater, Rzewuski, Osiński, (?) Zygmunt Sierakowski i Józefat Ohryzko. Wszak mają godnych następców“!

Jak widzimy, „Listok“ Nr. 23 ma na celu wywołanie żywiołowej nienawiści względem Polaków. Końcowy ustęp brzmi: „Oszukany narodzie rosyjski, przynajmniej teraz powinno się to wszystko wzruszyć“!...

Inne pismo ulotne p. t. „Samodiełność Polski“ (Nr 25) pisane jest stylem mniej jaskrawym, ale opiera się również na fałszowanych faktach Dowodzi ono, że „włościanie polscy już oddawna są przyjaciółmi Rosyi“, i że o samodzielności myśli jedynie szlachta. W dalszym ciągu usiłuje wykazać autor, że Polakom właśnie najlepiej się dzieje pod panowaniem rosyjskiem, i utyskuje na ich niewdzięczność:

„Zajrzyjcie do instytucyi państwowych i społecznych w Rosyi, zarówno wyższych, jak niższych: wszędzie znajdziecie Polaków na wszelkich posadach; a jak ułożyły się pod tym względem stosunki w Galicyi? (O Poznańskiem już wcale nie mówimy). Wszak tam żaden Polak niezdołał uzyskać wyższej rangi wojskowej, nie daleko awansują oni i w służbie cywilnej“.

„Przytaczamy fakty z życia“ — konkluduje ze spokojną bezczelnością „Listok“

Nie będziemy mnożyli przykładów; powyższe cytaty rzucają dostatecznie światło na działalność żywiołów, które wywołują na Rusi rosyjskiej waśń narodowościową i wyznaniową *Kresowy.*

Moskiewska... Lechja.

Rzadko odzywający się autor świetnych „Szkiców“, Adam Szymański, wydał świeżo wysoce oryginalny, w słońcu kąpany obrazek p. t. „Aksinja, opowiadanie z życia moskiewskiej Lechji“. Aksinja, to imię bohaterki obrazka, wiejskiej dziewczyny, która bezwiednie jest wielką artystką. Pod urokiem jej śpiewu przy żniwie zostaje cała gromada. Pieśń jej „czysta, jasna i przejrzysta jak zdrój krynicny i tak łagodna niby to tchnienie wiosny“ przenika do wnętrza duszy ludzkiej. Aksinja jest urodzoną aktorką, metylko śpiewa ale gra pieśni swoje — przybiera stosowne pozy, rzuca z swej twarzy maskę pospolitości i staje w imponującej krasie dziewiczego ciała. Natchniona jej pieśń łączy ze sobą ludzi z trzech sąsiednich wsi, stronniących od siebie, odmiennych ubiorem, zwyczajem, wierzeniami, w części religją, a zupełnie pochodzeniem. Bo jedną z mch zamieszkują wielkoruscy starowiercy, drugą białoruscini, a trzecią polechowie, pochodzenia lackiego, polskiego.

Oprócz wysokiej wartości artystycznej, ma „Aksinja“ dla nas poniekąd wartość niesłychanie ciekawego odkrycia etnograficznego — i to nas zachęca do podzielenia się z czytelnikami tem co nam opowiada autor w pierwszych rozdziałach swej opowieści.

Na linii granicznej zlewów Dniepru i Wołgi, nad brzegami Oki, Desny i Sejmu, osiadł od wieków niepamiętnych lud, który według Nestora przybył tu z Radimem i Wjatką, „lackiego rodu“. Dość zresztą, zapewnia Szymański, znać choćby dzisiejsze najistotniejsze cechy naszego plemienia, ażeby dostrzedz wiele wspólnych rys-ów między nami, a znaczną częścią ludności zamieszkującej guberuje Kałuską, Orłowską, Tulską, część Kurskiej i Rjazańskiej. Już w języku tej ludności znajduje autor niemało wyrazów nieużywanych w języku rosyjskim (wielkoruskim). Drugim argumentem, „który powinien być dla czytelniczek najpoważniejszym i decydującym“, jest to, że niewiasty tej wschodniej Lechji są piękne. Autor opisuje nietylko tę wyjątkową ich piękność ale i rozwinięte wśród nich niezwykłe poczucie piękna i harmonji, co przypisuje ubiorowi dziewczyn. Na ubiór ten składa się tylko sama koszula, w której trzeba umieć chodzić, poruszać się, zachować skromność, i którą trzeba upiększyć i ozdobić. „Gdy się widzi je nieraz przy ciężkiej, brudnej pracy, jak się zachowują, szczególnie w obecności obcych mężczyzn, jak w każdym ruchu i z każdego słowa przebija jakaś dziwna ogłada, godność, szczególniejsza umiejętność zachowania miary i harmonji we wszystkiem, jakaś przyrodzona delikatność i łagodność, wierzyć się nie chce, że to nie są jakieś bajeczne, zaczarowane księżniczki, które tylko los surowy rzucił tu kapryśnie“.

Drugą charakterystyczną cechą, odróżniającą Laszki od niewiast sąsiednich i ze stron dalszych, jest ich niezwykła śpiewność. Dopiero wśród nich mieszkając, można zrozumieć ten podziw, jaki wyrażali kronikarze niemieccy nad śpiewnością Lachów zachodnich. Autor pisze dość szeroko i z przadziwem zachwytem o tej „pieśni srebrzystej“, o jej wpływie na wesołość i na wspomnianą powyżej rozwój poczucia piękna i harmonji Zalety dziewczyn lackich wpływają zapewne na to, że lud je otacza niesłychanym kultem. Nigdzie też lud prosty nie odnosi się tak tkliwie do dziewczęcia, jak ów lud lacki, pomimo swej ciemnoty i pozornej dzikości.

To są argumenty, że tak powiemy estetyczne, odrębności tego lackiego rodu, co tu przybył z Radimem i Wiatką. Ale są inne, więcej mówiące. Na etnograficzną odrębność ludności wspomnianej guberuji, zwróciła już dawno uwagę rosyjska nauka, zwłaszcza badania lingwistyczne Akademii nauk w Petersburgu i Towarzystwa geograficznego, które rzuciły już sporo światła na zamgloną przeszłość tak nazwanej przez Szymańskiego wschodniej czyli moskiewskiej Lechji.

Są w niej nazwy miejscowości czysto polskie, jak nadodrzańska lechicka Radagoszcz, jak Kujawa, Koniecpol, Radom, Radomka, Sandomierz (Sudomir).

Chłop z tamtejszych lasów nie używa nazwy „ruski“, a jeżeli się otarł w świecie, to go przekręca na „ruckij“ i wymawia ten wyraz niepewnie, jako obcy. Sam siebie zwie inaczej

„Gdym osiadł między nimi — pisze Szymański — i pierwsze lody zostały przełamane, po pomyślnem i zgodnem załatwieniu jakiegoś nieporozumienia, przyszli do mnie z tego powodu starcy wiejscy, najwyżsi sędziowie i kierownicy wszelakich spraw we wsi, powaga których jest tu wielka. I oto odchodząc i żegnając się ze mną, rzucili mi wówczas taki frazes: „Bywałeś i mieszkiwałeś (to „ty“, mówi się tu wszystkim wogóle), Bóg wie niegdzie, na świecie szerokim, pomieszkając i z nami, z polechami“.

„I dziwnie ten wyraz ostatni brzmiał mi w uszach, w ich wymowie“.

„I niech sobie, co chcą mówią mężowie uczeni,

twierdzić muszę, że tu tkwi źródłosłów naszego imienia. Toż duść, niech się tylko z środkowe choć trochę rozchyli w *a* szerzące, aby na zasadzie miłodźwięku *ch* natychmiast stwardniało w *k* i z „polecha" zrobił się „polak" prawdziwy".

Warto zaznaczyć, że ziemie dzisiejszych polechów, Wętrzesani wówczas zwanych, najdłużej i najzacieklej opierały się Waregom. Dopiero Włodzimierz święty ugiął je i najlepszych mężów wętrzyckich wysiedlił na południe Kijowszczyzny. „Byliny" rosyjskie dużo o tych walkach mówią; siostry i matki bohaterów nazywają się w nich „polonianami". Jeszcze Włodzimierz Monomach musiał walczyć z tą Lechją, aż dopiero niewola tatarska i dzika niwelacyjna polityka wielkich kniaziów moskiewskich zatarły rysy plemiennej odrębności Lechitów.

„To też — pisze Szymański — gdy w wieku XV. część ziem Radymiczów i Wętrzesów, pod nazwą księstw Siewierskich, przeszła pod władzę Rzeczypospolitej, już ze stron obu nikt nie nie wie o swej wspólności plemiennej i księstwa Siewierskie, wciąż poszukiwane przez Moskwę, jako jej „odwieczna dziedzina" przechodzą po stu latach ponownie pod jej władzę.

„I śpi od siedmiu wieków cała Lechja moskiewska; śpi cicho, rolnicze plemię sławnego lackiego rodu. Czy śpi ono tylko tym snem bohaterskim, z którego z czasem za wołą Bożą znowu powstanie i jak jego legendarni czcicielе straszne i groźne, zadziwi świat swemi czynami, czy też zasnęło już na wieki? Bóg to jedynie wiedzieć raczy". *kb.*

Wezwania Polskiej Ligi Narodowej.

(Ciąg dalszy).

Nie wolno nam wydawać ani ziemi, ani domów, ani przedsiębiorstw polskich w ręce obcych!

Doniosłość tego wezwania jest uzasadniona potężnym wpływem jakie wywierają na życie nasze podstawowe środki gospodarcze zwane zwykle kapitałem.

Położenie nasze obecne w kraju jest bardzo niekorzystne a nawet groźne, gdyż kapitał twórczy w postaci ziemi uprawnej, domów, fabryk i wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw usuwa się bez przerwy z rąk naszych, przechodząc bardzo często w posiadanie Niemców, żydów nie będących Polakami, a we wschodniej części kraju także w ręce Rusinów. Posiadanie kapitału twórczego zapewnia jego właścicielowi ogromny wpływ na otoczenie, daleko większy aniżeliby sądzić można wedle wartości czystego dochodu jaki dany kapitał przynosi. Dobrze rozwijająca się fabryka z kapitałem zakładowym wynoszącym np. 1 milion, daje może 10% czyli 100.000 czystego zysku rocznie, co już stanowi dochód poważny; ale fabryka ta musiała obrócić w tymże czasie również około miliona koron i wydać z nich dajmy na to 300.000 koron na urzędników i robotników i tyleż na rozmaite zamówienia.

Od właściciela fabryki też zależą więc i ci ludzie, którym on wypłaca wynagrodzenie albo daje zamówienia. Jeżeli zatem fabryka wydaje rocznie około 700.000 koron wliczając do tego i wydatki osobiste właściciela, a przyjąć można, że z tysiąca koron rocznego dochodu utrzymać się może dwoje osób, to widzimy, że od tak małego przedsiębiorstwa zależy gospodarczo dwa razy 700 czyli około **1400 osób**.

Zależność zaś gospodarcza jest, jak to ludzie doświadczeni wiedzą, w dzisiejszych czasach najdonioślejsza. Ona jest głównym powodem utrzymywania się Niemców jako panującej warstwy na Śląsku, pomimo przeważającej masy ludu polskiego, wśród której żyją. Wobec zależności gospodarczej ustępują dziś prawie wszystkie inne wpływy i oto na Śląsku nie nam nie pomogą ani najlepsze ustawy, ani kościoły, ani szkoły polskie, póki nie będziemy mieli w ręku przedsiębiorstw i kapitałów twórczych. Poznańczycy, żyjący w tak niesłychanie trudnych warunkach zrozumieli olbrzymią doniosłość posiadania tego kapitału, jaki przedstawia ziemia, przedsiębiorstwo ekonomiczne i pieniądz i dlatego silnemu naporowi Prusaków opór stawić zdołają.

U nas tymczasem, gdzie jesteśmy pod względem politycznym panami kraju, własność ziemska usuwa się ustawicznie z rąk polskich, przechodząc w ręce żydów niemieckich lub Niemców, a w ostatnich czasach w ręce chłopów ruskich. Przemysł w rękach naszych się znajdujący jest zaledwie małą cząstką całości. Na kupiectwo i banki wpływu wielkiego nie mamy, a główny nasz stan posiadania odnosi się do urzędów publicznych, które jednak zawsze należeć będą do tych, co władzę polityczną dzierżą; przyszłość nasza i pod tym względem nie najlepiej się przedstawia. Gdy bowiem Austrya przedwcześnie wprowadziła tak zwany „demokratyczny", powszechny system wyborów, w którym dotychczasowe zasługi, jako też inteligencya i zamożność Polaków tracą zupełnie znaczenie, a rozstrzygać będzie tylko ilość bez względu na jakość, to nieuniknionem jest szybkie zmniejszanie się naszej przewagi politycznej w Galicyi, przedewszystkiem na korzyść Rusinów, równocześnie zaś wybije się na wierzch przewaga gospodarcza Żydów, bez których poparcia i dziś już Polakowi trudno się dostać do przemysłu, handlu lub działu bankowego.

Dlatego nawołujemy do utrzymania najważniejszych podstaw produkcyi i bytu naszego w rękach polskich i do rozszerzania wpływu jaki dotychczas posiadamy w sposób możliwie stanowczy, abyśmy straty poniesione skutkiem nierozwagi i małrzycielstwa na polu politycznem powetować mogli choć częściowo w dziedzinie ekonomicznej. Pamiętając o tem, że łatwiej jest coś utrzymać aniżeli na nowo zdobywać, widzimy, że świętym obowiązkiem każdego rodaka posiadającego owe najważniejsze środki życia ekonomicznego jest i będzie utrzymanie ich dla dobra własnego i całego społeczeństwa Do tego trzeba co prawda dzielności, zaparcia się i poważnego wykształcenia w danym zawodzie. Starajmy się więc wszyscy o to, abyśmy takich ludzi w jak największej liczbie pozyskali, starajmy się budzić w sercach osób nam bliskich poczucie wartości ziemi, domów i przedsiębiorstw dla bytu narodu naszego i skłaniać ich do wytrwania na posterunku nawet w najtrudniejszych warunkach.

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Zapałki sidzińskie.

(referat Koła akad. „Straży Polskiej").

We wtorek dnia 12 października zwiedziła delegacya akad. Koła „Straży Polskiej" fabrykę zapałek w Sidzinie, przyjęta i objaśniana bardzo uprzejmie przez właściciela W. P. Stabrowskiego. Fabryka założona została w r. 1905. Z początku produkcya była ręczna, w roku 1908 wprowadzono maszyny i dziś fabryka jest wyckwipowana tak, jak wszystkie najlepsze w państwie austr. Posiada 47 maszyn, poruszanych motorem parowym, z których część szczególniej tzw. suszarnie, budowano na miejscu według własnych planów.

Zapałki szwedzkie wyrabia fabryka wyłącznie z drzewa osikowego, w tym celu sprowadzanego, które długości 2½ metra dzielone przy pomocy parowej piły na mniejsze 50 centimetrowe kawałki idą na maszynę strugową, która wykraws z nich długie wióry ⅞ i 2⅜ grubości.

Cieńsze wióry dzieli specyalna maszyna na różne szerokości do wyrobu z nich pudełek, gdy tymczasem, inna maszyna z grubszych wiórów tnie patyczki na zapałki.

Główne zadanie fabrykacyi polega w należytem suszeniu patyczków i pudełek, do czego służą automatyczne suszarnie, ogrzewane parą i poruszane siłą motorów. Takich suszni fabryka posiada 5 dla przeszsenia materyałów na 100000 pudełek dziennie. Do wyrobu zapałek fabryka posiada 2 oddziały: w jednym odbywa się cała manipulacya przy pomocy kilkunastu maszyn, w drugim przy pomocy jednej automatycznej maszyny. Każdy z tych oddziałów może wyprodukować zapałek dla 50 tys. pudełek, czyli razem dla 100 tys. pudełek dziennie.

Wobec silnej konkurencyi fabryk austryackich, wypossażonych w maszyny najnowszych systemów i będących w związku z Landerbankiem, także fabryka sidzińska była zmuszona zaprowadzić kosztowne inwestycye przy życzliwem poparciu, niestety nie polskiego, lecz czeskiego Żywnostenskiego Banku w Krakowie.

Pudełko zapałek wychodzi napełnione niemal bez dotknięcia ręki ludzkiej. Drzewo na pudełka pocięte przez maszyny dostaje się do innych maszyn, które automatycznie je łamią i okręcając dookoła sztaby żelaznej oblepiają kolorowym papierem i wyrzucają gotowe do dwóch długich koryt (jednem idą pochwy pudełek, drugiem wnętrza), które na pasach ciągną je do innego pokoju w górę. Tutaj widzimy tzw. suszarnie. Części pudełka wpadają z góry na siatkę drucianą, która zawinięta dokoła sześciu walców tworzy siedm pięter. Siatka ogrzewana jest parą bardzo ostrożnie tak, żeby pudełka tylko wyschły, nie nabrały jednakże wilgotności lub nie popękały. Suszą się jedną godzinę i 20 minut. Tymczasem przygotowują się zapałki. Patyczki cięte maszyną schną w wielkich rotacyjnych maszynach (w kształcie ogromnych bębnów wewnątrz pustych) zapomocą prądu powietrza, stąd przechodzą do ogromnej maszyny, gdzie na żelaznej wstędze długości kilku metrów, obracającej się dookoła osi (szerokości 1½ m.) znajduje się 3½ miliona otworków, w które maszyna wkłada patyczki jednym końcem, drugim zaś macza je w parafinie, a potem w masie zapalnej, poczem osuszone prądem powietrza, wkładane są do pudełek, które tymczasem już przeschły. Tak mniejwięcej przedstawia się produkcya zapałki. Cała praca odbywa się maszynowo. Fabryka zatrudnia 50 ludzi, wyłącznie tutejszych rolników, którzy od początku fabryki są w niej zatrudnieni; nie były to siły zawodowe, wskutek czego, zanim się wykształciły, ponosił właściciel, szczególniej przy ręcznej produkcyi, wielkie szkody.

Fabryka znajdująca się w odległości zaledwie 6 kilometrów od Krakowa 7/8 swej produkcyi zbywa we Wiedniu i mogłaby mieć tam nieograniczony zbyt, gdyby nie koszta transportu. Produkcya roczna wynosi około 3000 skrzyń zapałek, z tego więc drobna bardzo ilość zbywana jest w kraju, dokąd natomiast sprowadza się w wielkiej ilości produkcye obce, wyłącznie tylko w interesie osobistym hurtowników, bo zapałki sidzińskie pod względem wartości nie ustępują wyrobom obcym, owszem, pod niejednym względem je przewyższają.

Rzeszów. Jak Galicya zajmują się Niemcy, mamy nowy dowód. W tutejszym kole Tow. Szkoły lud. zjawił się agent Bernard Eksler, zamieszkały w Borysławiu z następującą propozycyą:

Wiadomo, że w Galicyi mało zwraca się uwagi na rozmaite odpadki metalowe, jak puszki ze sardynek, pudełka, kapsle z flaszek i t. p. Wszystko to wyrzucane do śmietników bezpowrotnie marnieje gdzieś, proponuje więc Kołom T. S. L. i innym instytucyom by zajęły się zbieraniem tych odpadków a on je wszystkie zakupi, dając 360 koron za wagon t. j. za 10.000 kilogramów. Wymaga jednakże podpisania deklaracyi, że Koło tylko za jego pośrednictwem wyśle odpadki firmom: Th. Goldschmidt, Essen, Rubrzinnhütte, Krupp in Essen oraz zakładom wiedeńskiego Landerbanku.

Propozycya bardzo ponętna. Jeden z nas zjawił się w Kole T. S. L. w chwili, kiedy te układy miały miejsce. Wpłynęliśmy na wstrzymanie podpisania deklaracyi w obawie, że, jak nam wydaje, znowu by się zagwoździło na jakiś czas nasz przemysł. Przypuszczamy bowiem, że będzie on tych odpadków w przyszłości potrzebował. Gdyby zaś Towarzystwa podpisały stałą umowę, nie mogłyby odpadków w kraju pozbyć a musiałyby je Niemcom za granicę wysyłać. Dobrą jest rzeczą zbierać i sprzedawać odpadki choćby niemieckim fabrykom, ale dopóty, dopóki nie powstaną nasze fabryki.

Mamy już dowód, jak n. p. kartel żelazny zdołał dla siebie wszystko zużytkować. Dyrekcye kolejowe co roku znaczne ilości starego żelaza zbywały na wagę partyami. Kartel zdołał uzyskać w Wiedniu ochwałę, by całe zapasy były na raz sprzedawane. W ten sposób krajowe nasze mniejsze odlewarnie nie mogły już z tych zapasów korzystać, bo takich wielkich ilości nie potrzebowały i zużytkować nie mogły. Więc do licytacyi też nie stawały.

Wobec więc tego, cośmy wyżej podali, w osobie B. Ekslera mamy nowego i to pruskiego konkurenta działającego już na przyszłość przeciw naszemu rodzimemu przemysłowi. Należy więc wszystkie Towarzystwa przestrzedz, by umów stałych z takimi ajentami nie robiły. Co do zbierania odpadków, nasze Towarzystwo Muzeum Przemysłowego już od 1½ roku do tego nawołuje, ale publiczność nasza nie jest przyzwyczajoną do systematyczności, tembardziej, że służba niechce się takiemi drobiazgami, jak powiada, zajmować. Stąd rezultaty dotychczas małe. Za granicą dawno to zrozumiano. Wiemy, że n. p. w Londynie są specyaliści do zbierania po ulicach zgubionych podków końskich i innych odpadków, zbierają je worami i z tego się utrzymują.

Mamy nadzieję, że nasza działalność i pod tym względem po pewnym czasie przyniesie namacalne korzyści. Sądzimy, że przezwyciężym apatye publiczności.

Guzikarstwo.

Guzikarstwo na ziemiach polskich rozpowszechnione jest dotychczas tylko w Galicyi wschodniej. Lwów bowiem jest macierzą polskiego guzikarstwa. Z tej racyi, choć pobieżnie, należy przedstawić historyę i początkowanie tego domowego przemysłu, jako dowód, ile można przy wytrwałej, a celowej pracy, z najmniejszym nawet funduszem zrobić.

Przed 15 laty zostało założone we Lwowie, staraniem czcigodnej, a niezmordowanej w pracy pani Amelii Starzyńskiej, stowarzyszenie „Pomoc przemysłowa kobiet" z nieprawdopodobnie małym kapitałem 16 koron!

Dzisiaj, po latach 15 „Pomoc przemysłowa kobiet" rozporządza kapitałem bez mała 100,000 koron, a działalność tego pożytecznego stowarzyszenia jest błogosławieństwem wielu wiosek wschodniej Galicyi. Ludne wsie pod Lwowem, jak np. Zubrza i Krotoszyn mają samodzielne kółka guzikarskie, a co jest rzeczą szczególną, że na czele tych stowarzyszeń stoją nie gospodynie, lecz gospodarze miejscowi.

Cała ludność kobieca zajęta jest natomiast, w wolnych od zajęć w polu chwilach, wyrobem guzików tak dalece, że kilkunastoletnie dziewczęta, pasące krowy, nie wychodzą inaczej z domu jak z koszyczkiem pełnym nici i stalowych kółek do guzików, współzawodniczące przez cały dzień o to, która więcej guzików do domu przyniesie.

Tak to matki, które same odzwyczaiły się od siedzenia przez długie wieczory z założonemi rękoma, przyzwyczajają swe córki do pracy.

Jakkolwiek z trzech dzielnic Polski, Galicya stosunkowo najsilniej obdarza Amerykę wychodźtwem, to jednak z okolic, w których przemysł guzikarski rozwinął się, procent emigrantów znacznie się zmniejszył.

A wspomnijmy wiele Zubrza i Krotoszyn nietylko zaprzestały wzbogacać obcych swoją pracą, ale nawet wiele gotówki otrzymują z za morza, najpoważniejszymi bowiem odbiorcami guzików galicyjskich są Anglia i Australia.

A wyrób tych guzików nie jest bynajmniej umiejętnością, wymagającą wyjątkowych uzdolnień — kółeczka stalowe różnej wielkości stowarzyszenie nabywa hurtownie — obszycie niemi, czy płótnem przy wprawie, nie przedstawia trudności dla żadnej wiejskiej dziewczyny.

Byle chcieć, byle pracować.

Na wzór galicyjski, powstają obecnie w Królestwie właśnie pierwsze kółka guzikarskie dzięki profesorowej Karpińskiej, które niewątpliwie staną się źródłem dochodu dla okolicznych pracowniczek.

Pamiętnik. Niedołęstwem, a nie czem innem nazwać należy, sprowadzanie przez naszych kupców „Pamiętników" niemieckich. Są to albumy oprawne, z czystym papierem wewnątrz, które chętnie nabywa młodzież, aby jej koledzy i koleżanki, przyjaciele i przyjaciółki na pamiątkę „wpisywali się". Pragnąc przeszkodzić temu bezmyślnemu wyrzucaniu pieniędzy za granicę, introligator krakowski, p. Terakowski (ul. Mikołajska 13) wydał swoim nakładem taki Pamiętnik, nieuchybiający w niczem Pamiętnikom niemieckim, a cenę z nimi konkurujący. Niech więc nasza młodzież popiera go, a wypełni obowiązek obywatelski.

P. L. N.

Polskie biuro prasowe w Paryżu założono, jak wiadomo w r. 1907 staraniem Rady Narodowej, mającej swą siedzibę we Lwowie. Zadaniem jego było powiadamianie prasy zagranicznej o sprawach polskich, prostowanie kłamstw politycznych i dziennikarskich, dotyczących naszego narodu i obrona naszych interesów przed opinią europejską. Zadania te spełniało biuro w ciężkich warunkach i przy skromnem poparciu pieniężnem ze strony kraju i jego obywatelstwa.

Datki na koszta utrzymania tego biura i na tworzenie nowych przyjmował będzie także Polska Liga Narodowa we Lwowie, ul. Czarnieckiego 3, aby je przekazać zarządowi Rady Narodowej.

Nie wiadomo jeszcze, czy dotychczasowa siedziba biura prasowego ob.azała się dobrą; zdaniem naszem Paryż leży za daleko od Polski i dlatego raczej Wiedeń nadawałby się na siedzibę główną, zwłaszcza, że stamtąd możnaby łatwiej uzyskać dostęp do pp. ważnych dzienników niemieckich, których wpływ jest w danych warunkach donioślejszy, niż wpływ prasy francuskiej i angielskiej.

Biuro **główne** powinno zaś mieć swych **zastępców** w Paryżu, Berlinie, Londynie, Petersburgu, Peszcie, Rzymie, Nowym Yorku i t. p.

Nader miłym objawem żywotności narodu polskiego był Zjazd techników Polskich, który się odbył we Lwowie we wrześniu w obecności przeszło 500 inżynierów ze wszystkich dzielnic Polski. Lwów przyjął drogich gości serdecznie i starał się uczynić im pobyt przyjemnym i użytecznym.

Ośrodkiem zebrań i prac Zjazdu Techników był gmach politechniki lwowskiej, tej jedynej na Ziemiach Polskich politechniki, w której język, duch i kultura polska mogą swobodnie się objawiać, w której kształci się obecnie młodzież całej Polski na przyszłych inżynierów, twórców nowoczesnej kultury, dobrobytu i potęgi społeczeń-twa. Królestwo i kraje zabrane, Poznań, Kraków i inne miasta lub kraje przysłały najwybitniejszych swych techników na Zjazd, na którym nawiązano liczne stosunki osobiste i zawiedziono, przedstawiono w szeregu wykładów i omówień wyniki pracy zawodowej i obywatelskiej naszych techników, radzono nad sprawami przemysłu, dobrobytu i rozwoju społeczeństwa naszego, nad doniosłą sprawą kształcenia techników naszych na dzielnych pracowników i obywateli, wreszcie nad utrzymaniem łączności między wszystkimi technikami polskimi.

Obrady odbywały się równocześnie w kilkunastu oddziałach, jak n. p. budownictwa, inżynieryi, hydrotechniki, elektrotechniki, technologii, budowy maszyn, chemii, gazownictwa, górnictwa, wykształcenia zawodowego i wielu innych.

Ważniejsze ich wyniki będą ogłoszone w osobnym Pamiętniku Zjazdu. Wnioski przekazano do załatwienia Stałej Delegacyi Zjazdu, która będzie odtąd niejako Wydziałem Związkowym wszystkich towarzystw polskich w tej dziedzinie.

Na wniosek Warszawy postanowiono urządzić następny Zjazd już po dwu latach w Krakowie, dokąd gościnne prezydyum miasta techników polskich zaprosiło.

Z przyjemnością zapisujemy, że kilkunastu członków Ligi Narodowej brało wybitny udział w przygotowaniu tego nader udałego Zjazdu, którego wspomnienie zagrzewać będzie serca wszystkich uczestników w dalszej pracy zawodowej i społecznej.

Podczas Zjazdu urządzono cztery wystawy mianowicie prac inżynierów i fabryk polskich, prac słuchaczów architektury i pierwszą w Polsce wystawę lotniczą.

Jedno tylko żalem przejmowało serca uczestników Zjazdu, że droga nam wszystkim Warszawa nie mogła przyjąć Zjazdu Techników u siebie — bo rząd „słowiańskiego" narodu uważa za stosowne tłumić wszelkie zdrowe objawy życia polskiego i gnębić najlepszych obywateli państwa sztucznemi administracyjnemi na każdym kroku.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne utworzyło zastępstwo swe we Lwowie, co jest dowodem, jak silny jest ruch wychodźczy Polaków nawet ze wschodniej Galicyi, gdzie nasi tak jest za mało. Spodziewamy się, że działalność tego Towarzystwa będzie dla wychodźców naszych korzystna i uchroni ich od wyzysku niesumiennych ludzi.

Równocześnie jednak zwraca Liga Narodowa uwagę ludu polskiego na to, że warunki osiedlania rolników w Galicyi wschodniej są ogółem biorąc daleko lepsze niż w Ameryce północnej lub południowej, bo ziemia jest tu wyborna, zbyt płodów pewny i z powodu wysokich cen nader korzystny, otoczenie swojskie i miłe, a porządek zarządu państwowego i krajowego zapewnia osadnikom naszym życie bez porównania spokojniejsze i szczęśliwsze, niż w krajach zamorskich.

Gdy więc szukać będziecie nowych siedzib, radzcy, **przybywajcie do nas, gdzie was potrzebujemy**, a nie idźcie między obcych, którzy was nienawidzą i wyzyskują!

Hojny dar. Na ręce zast. przewodniczącego Ligi Narodowej, prof. Hausswalda złożono dnia 17 b. m. w imieniu pani J. T. kwotę **500 rubli**, przeznaczoną na rzecz „Komitetu Pomocy dla młodzieży polskiej"... Za dar ten należy się szlachetnej ofiarodawczyni prawdziwa wdzięczność. Komitet użyje tych pieniędzy według obowiązujących go przepisów, uwzględniając życzenie wyrażone przez panią T.

Rodakom w San Francisco dziękujemy również za przysłanie kwoty 33 koron na ten cel (za staraniem p. Muracku).

Za Komitet Pomocy dla Młodzieży Polskiej:

Dr. St. Korytko skarbnik. *Edwin Hausswald* zast. przew.

Zwalczanie drożyzny.

Czytelnicy „Straży" przypomną sobie, że niezmiernie doniosłą tą sprawę poruszono w roku ubiegłym na jednym z „Wieczorów Parlamentarnych P. L. N.", a środki zaradcze podano w tem czasopiśmie.

Obecnie ruszyły się także inne Koła w tym kierunku, a różne partye urządzają we Lwowie wiece, przeciw dalszemu wyzyskowi konsumentów. Nowo utworzone „Towarzystwo ekonomiczne urzędników" rozpoczyna teraz akcyę przeciwdrożyźnianą.

„Wieczory Parlamentarne" Ligi Narodowej rozpoczną się w listopadzie. Przedmioty obrad będą ważne i zajmujące, jak n. p. zwalczanie wad narodowych, wychowanie Polaków, podniesienie miast naszych, zwalczanie drożyzny, osadnictwo polskie itp.

Podatek Narodowy P. L. N.

Członkowie i zwolennicy Ligi Narodowej, którzy dotąd jeszcze nie złożyli tegorocznego podatku narodowego, mającego wynosić około 1/500 część dochodu, zechcą łask. spełnić ten ważny obowiązek bezzwłocznie. Najdogodniej będzie wpłacić odnośną kwotę na rachunek czekowy P. L. N. l. 114.853, podając zarazem swój dokładny adres.

Czem raz ważniejsze zadania nasuwają się Zarządowi Ligi Narodowej, wymagające większych kosztów — dlatego też wzrost dochodów jest obecnie konieczny, aby brak środków nie krępował użytecznej działalności Towarzystwa.

Subwencya czasopismu, niezbędne druki, lokale na wiece i zebrania, zasiłki dla innych Komitetów lub Towarzystw polskich, a ponadto nowe, doniosłe i trudne przedsięwzięcia P. L. N. wymagają znacznych wkładów i zasługują na hojniejsze poparcie naszego społeczeństwa.

Polska Liga Narodowa
Lwów, Czarnieckiego 3, II. p.

Pocztówki P. L. N. Nowy nakład ulubionych pocztówek Ligi Narodowej, na których umieszczone będą najważniejsze przykazania Narodowe, wyjdzie niebawem z druku.

Zamówienia tych pocztówek po 1 koronie za 30 kart przyjmuje Biuro lwowskie P. L. N.

Uwagi.

Na urządzonem przez „Straż Polską" nabożeństwie żałobnem za Maryę Konopnicką, kościół św. Anny był prawie zapełniony.

W tłumie tym przeważała młodzież uczęca się. Widocznie dyrekcye paru gimnazyów krakowskich uwolniły wyższe klasy. Zwracała też uwagę setka panienek, uczenic któregoś pensyonatu krakowskiego, które parami z książkami pod pachą przybiegły pomodlić się za spokój duszy wielkiej narodowej poetki.

Poza kilku setkami młodzieży, było w świątyni 250—300 osób, przeważnie pań. Ludzi wybitnych, ludzi „wielkich" Wielkiego Krakowa — ani śladu.

Pomijając członków Zarządu gł. Straży Polskiej, z literatów widzieliśmy tylko jednego. Ten jeden też jedynie reprezentował w swojej osobie Uniwersytet i Akademię Umiejętności.

„Dygnitarza" nie widzieliśmy ani jednego. Tyluż było i radców miejskich.

Nie mieli czasu i dziennikarze, czego dowodem, że parę dzienników zaledwie zaznaczyło, że się nabożeństwo odbyło, a jeden „bardzo poważny", całkiem o niem zapomniał.

Sfery rękodzielnicze świeciły nieobecnością, mimo, że osobne do nich wysłano zaproszenie.

Reprezentantów stowarzyszeń patryotycznych, nawet tych, które Konopnicką zaliczały do swych członków honorowych, czem się głośno po jej śmierci chwaliły, — oko ludzkie dostrzedz nie było w możności.

Widzieliśmy natomiast kilku lekarzy, adwokatów, radców sądowych...

A przecież nabożeństwo, urządzone przez Straż Polską, było jedynym w Krakowie hołdem pośmiertnym, oddanym wielkiej poetce.

A przecież niektóre dzienniki donosiły, że życzeniem ogółu krakowskiego jest złożenie śmiertelnych szczątków poetki w grobie zasłużonych na Skałce.

W kilka dni później, w kościółku OO. Kapucynów odbyło się żałobne nabożeństwo za spokój duszy również niepospolitego poety, Feliciana Faleńskiego, zmarłego w Warszawie w d. 14 października.

Pisaliśmy przed kilku miesiącami, jak zapomniano za życia o tym wielkim mistrzu słowa — jak dopiero przypomniano go sobie, kiedy minęło 50-lecie jego twórczości.

Na nabożeństwie za jego duszę było w kościółku Kapucynów osób 23 — a w tem kilka kobiet w chustkach na głowie, które wstąpiły pomodlić się, i nie słyszały nigdy o żadnym Faleńskim. Zupełnie i kilka kobiet w kapeluszach znajdowało się tylko przypadkiem na mszy żałobnej za znakomitego poetę.

Sic transit gloria mundi.

Tak czczą wielkich mistrzów słowa Ateny Polskie, zwane inaczej Wielkim Krakowem.

Może się zmienią ich obyczaje po przyłączeniu do nich... Piaszowa.

Zawołano: pochowajmy Konopnicką na Skałce!

Zawołano, bo to nie nie kosztuje, bo to tani sposób zareklamowania swojej ozoi dla wielkiej poetki.

Nie zastanowiono się jednak nad tem, że Skałka to miejsce bardzo nieszczęśliwie wybrane na grobowiec dla zasłużonych. Leży ona na końcu miasta w dzielnicy żydowskiej. Nikt tam z „miasta“ nie zachodzi, chyba na odpust św. Stanisława.

Kogo tam pochowają, tego grobu nikt nie odwiedza. A jeżeli jakie groby, to zasłużonych, odwiedzać się powinno.

Kiedy umierał Szujski (uważany za najwięk szego polskiego w danej chwili historyka, więc świeżo założony grób zasłużonych niecierpliwie go czekał), zastrzegł się sam przed śmiercią, aby go nie chowano na Skałce. To samo życzenie, a raczej rozkaz wypowiedział Matejko. Obaj obcieli leżeć na cmentarzu, obok ludzi, których kochali, a nie zdala od jakiś lochu, w zapomnieniu.

Poco wyrwano Siemiradzkiego z Powązek warszawskich? Tam żył, tam miał swoich bliskich, tam na grobie jego były zawsze żywe kwiaty, tam co dzień ktoś westchnął za jego duszę, tam teraz, w dzień zaduszny, dziesiątki tysięcy przechodziłyby koło jego mogiły, oddając hołd jego pamięci, składając wieńce na jego grobie. A na Skałce leży zapomniany, — bo chyba tylko jakiś przejezdny podczas lata zajrzy do grobu zasłużonych.

Poco zresztą zwozić prochy wielkich i wybitnych ludzi do Krakowa? Czyż inne miasta Polski, inne nasze prowincye, nie mają prawa do tych relikwii narodowych? Czy to rozumnie dążyć do tego, aby je pozbawiać tego rodzaju pamiątek?

Odwiedzałem niedawno grób Syrokomli na Rossie we Wilnie. Ten grób tam przemawia, budzi, jest drogą pamiątką, świętością. Czy miałby takie znaczenie w Krakowie? Te prochy stamtąd zabrać i przewieść do Krakowa, byłoby po prostu świętokradztwem.

A czy byłby jakiś wyjątkowy zaszczyt dla Konopnickiej leżeć na Skałce? I to nie. Na cmentarzu lwowskim z grobem jej sąsiadują groby Szajnochy. Ujejskiego, Goszczyńskiego, Chmielowskiego, Bielowskiego Smolki, Grottgera... Czy lepsze towarzystwo na Skałce?

Wogóle nasi najwięksi z czasów porozbiorowych, prócz Mickiewicza, spoczywają na cmentarzach swoich i obcych. Dość przytoczyć Słowackiego, Moniuszkę, Chopina, Matejkę, Grottgera, Lelewela, Orzeszkową...

Dlaczego Lwów niema mieć grobu Konopnickiej? Jedyne prawo odebrania jej szczątków miałaby Warszawa, bo tam wzrosła, tam tworzyć zaczęła...

Mam prawdziwe szczęście, że się urodziłem znacznie wcześniej niż ci, co mają dziś około lat 20 lub 25 i są do tego (o hańbo!) królewiakami.

Bo i ja byłem niegdyś królewiakiem (wstydzę się tego bardzo) i miałem lat 20—25.

Kupiłem sobie wówczas rewolwer. Nie z potrzeby, broń Boże, ale z mody. Każdy szanujący się młodzian musiał mieć to narzędzie, które mówiło o jego rycerskości. Z pewnem namaszczeniem brało się je czasem na jaką wycieczkę za miasto, — a zbóje i rabusie, napastnicy na cześć niewieścią i zegarki, drżeli w promieniu milowym.

Próoz własnego rewolweru przechowywałem jeszcze dwa mniejsze rewolwery, ślicznej paryskiej roboty, które pozostawił u mnie wracający do Rosji obywatel. A nie był to ani anarchista, ani rewolucjonista, ani nawet socjalista, lecz zwykły kapitalista, nieżywiący żadnych morderczych zamiarów. Ot kupił sobie ładne cacka, a bał się je przewozić przez granicę.

Oprócz tych trzech rewolwerów miałem jeszcze szablę po majorze z r. 1831 — i bokser.

Otóż prawdziwe szczęście, powtarzam, że ozasy mojej młodości przypadły w w. XIX, bo gdybym był później się urodził i tak się „uzbroił“, będąc do tego królewiakiem, to w r. 1910 nie mógłbym mieszkać w Krakowie, jeżelibym chciał pozostawać na wolności.

A przed laty można było być i królewiakiem i mieć taką „zbrojownię“, a nikt w tem nie widział zamachu na bezpieczeństwo publiczne.

Lepsze były czasy.

Gdyby policyż wszystkie portrety Jagiełły, jakie się ukazały w ostatnich czasach, zebrałoby się ich parę setek. Trzy czwarte z nich to reprodukcja z „Królów“ Matejki.

Wolno było Matejce narysować Jagiełłę według własnej fantazji, ale nie wolno tego nawskróś nieprawdziwego portretu dawać szerokim warstwom, jako podobiznę rysów wielkiego króla, zwycięzcy na polach Grunwaldu.

Uchodzą i uchodzić muszą fantazyjne portrety Mieszków i Bolesławów, bo nie mamy ich podobizn — ale wszak posiadamy autentyczny portret Jagiełły na jego grobowcu, po co więc tworzyć bajeczki, kiedy mamy prawdę.

A o ileż te prawdziwe rysy Jagiełły ze sarkofagu, są piękniejsze, poważniejsze, dostojniejsze, niż te, które wymyślił Matejko.

Trzymali się też ich wszyscy artyści, pragnący odtworzyć postać wielkiego króla (Lesser, Simlerit d.).

To też przez miłość i cześć dla pamięci Jagiełły, należało szerszym warstwom w rocznicę grunwaldzką dać jego prawdziwe wyobrażenie, a nie reprodukcję cennego może artystycznie, ale niepra-

---

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, jaką burzę wywołał nasz artykuł o niedostatkach i wadach naszych zakładów kąpielowych (zdrojowisk). Na zjeździe balneologów rządca Iwonicza gromkim głosem domagał się aż potępienia „Straży Polskiej“ za to „nieobywatelskie“ (?) wystąpienie.

Tymczasem dzienniki donoszą, że lekarze poznańscy i lekarze warszawscy wnieśli do sejmu galicyjskiego zbiorową petycyę o opiekę kraju nad galicyjskimi zakładami kąpielowymi, gdyż smutny ich stan i panujące w nich stosunki grożą im upadkiem i stawiają w przykrej kolizyi polskich lekarzy. Jako obywatele pragnęliby oni wysyłać chorych do uzdrowisk krajowych, a jako lekarze boją się, że chorzy wobec istniejących warunków, nie znajdą w nich dla siebie ulgi, opieki i zaspokojenia tych potrzeb i wygód, jakie dają zagraniczne zdrojowiska.

Wystąpienie lekarzy daje nam pełne zadowolenie i zadośćuczynienie za ową napaść na nasz organ na zjeździe balneologów — choć dla dobra kraju wolelibyśmy, aby słuszność nie była po naszej stronie. Niestety mamy ją my, a nie pan

---

Z Warszawy.

Społeczeństwo nasze w ciągu ostatnich lat kilku przechodziło przez krańcowo sprzeczne nastroje duchowe: od upojeń bezbrzeżnemi niemal nadziejami, poprzez wybuchy podnieconej gorączki zapoczątkowań na najrozmaitszych polach pracy, przerzuciło się nagle ku skrajnemu pesymizmowi i apatyi. Grunt do pracy zaczęto nam gwałtownie z pod nóg usuwać, co tembardziej potęgowało rozstrój woli i zanik energii, dający się we znaki tam nawet, gdzie możność pracy pozostała nam jeszcze. Apatyę, która dotknęła przedewszystkiem, oczywiście, ośrodki życia politycznego, stwierdzono już u nas po setki razy, potęgując ją jeszcze samem stwierdzaniem jej istnienia. Podniecenie energii społecznej dobry rewolucyjnej zwyrodniało następnie w kabaretowo-kawiarniane nastroje, w których szukano zapomnienia po niedawnych rozczarowaniach i zawodach. Zainteresowanie do realnych zagadnień społecznych ogromnie się zmniejszyło, natomiast teatr i inne surogaty życia realnego zaczęły odzyskiwać dawny przywilej wyłącznego niemal absorbowania świadomości inteligencyi polskiej. Od coraz gorzej przedstawiającej się perspektywy życia politycznego jedni szukali ucieczki w zaciszu życia prywatnego, inni w niewybrednych ucieohach; natłoczona do niedawna, a tak pełna wrzawy i ruchu arena życia publicznego wyludniała się i pustoszała coraz bardziej. Byliśmy świadkami najdziwaczniejszych ewolucyi, jakim podlegały jednostki; działacze ery „wolnościowej“ bezpośrednio niemal z trybuny ludowej przechodzili na deski scenki kabaretowej, niedawni kandydaci na dyktatorów rewolucyjnych stawali się komiwojażerami modnych artykułów toalety damskiej.

Najzdrowsza i najenergiczniejsza część z pośród tych, którzy porwani byli ogólnym wirem ruchu politycznego, przeszła na pole pracy społeczno-kulturalnej, z chwilą, gdy stało się jasnem, że wysiłki czysto-polityczne w najbliższej przyszłości nie doprowadzą nas do wyników pozytywnych. Ale i tutaj spotkano się, z jednej strony z przeszkodami zewnętrznemi, z drugiej — z apatyą i biernością ogółu, wśród którego i dla którego wypadło pracować.

Taki stan groził mógł poważną niemocą społeczeństwu naszemu i nagromadzeniem się w atmosferze naszej coraz groźniejszych miazmatów chorobotwórczych, gdyby trwał zbyt długo.

Na szczęście, liczne już są dzisiaj oznaki, które wskazują, że stan apatyi i prostracyi woli, na który narzekaliśmy tak długo, ma się już ku końcowi. Wraz z ustaleniem się warunków, wśród których żyjemy, ustaje bierne wyczekiwanie na ich zmianę, wrasta chęć pracy w tych warunkach, w jakich istnieć nam wypadło. Zainteresowanie zagadnieniami realnemi, takiemi jak sprawa samorządu miejskiego, kwestya szkolna, sprawy społeczno-ekonomiczne zastępuje niedawne rozpolitykowanie powierzchowne, polegające na wyłącznem zapatrzeniu się na to, co się dzieje w Petersburgu, w Izbie Państwowej. Następuje zdrowsze i bardziej właściwe ustosunkowanie w świadomości społecznej tych spraw, które rozgrywają się na terenie ogólno-państwowym, i tych, które leżą w bezpośrednim zakresie naszej własnej pracy i możności. Wiemy dziś, czego z Petersburga spodziewać się możemy, i wiemy, że najbardziej nieprzyjazne warunki zewnętrzne nie są w stanie unicestwić naszej pracy, jeśli opierać się ona będzie na silnej i świadomej woli.

Apatya, w którą zapadło nasze społeczeństwo, była zjawiskiem naturalnem i koniecznem, jako reakcya po poprzedniem podnieceniu gorączkowem i po ciosach, jakie na nie spadły. Wskazywano niejednokrotnie na analogię, jaka zachodzi pomiędzy porewolucyjnym stanem psychicznym naszego społeczeństwa, a jego samopoczuciem w dobie powstaniowej. Analogia ta była dość powierzchowna, niemożna bowiem porównać katastrofy, jaka spadła na społeczeństwo, wraz ze stłumieniem powstania, z temi represyami, jakim podlegliśmy po stłumieniu ruchu „wolnościowego“. I nadzieje, jakie miało społeczeństwo w dobie powstania, sięgały wyżej i upadek z tych wyżyn był boleśniejszy, bardziej ubezwładniający. Nie dziwnego, że okres upadku ducha, jaki nastąpił po powstaniu, trwał dziesiątki lat, społeczeństwo nasze w ciągu tej smutnej epoki było biernym objektem dla eksperymentów represyjnych. Dziś, pomimo narzekań na bierność i apatyę, nie byliśmy pogrążeni w bezładzie tak głębokim, abyśmy nie mieli jednak pewnych sił do reagowania w pewnych granicach na zbyt dokuczliwe ciosy. Sił tych przybywa nam z dniem każdym. Wzrasta rzeźkie samopoczucie, wzbiera energia i szuka dla siebie ujścia nie w przedsięwzięciach fantastycznych, ale w realnej pracy społecznej. Krótki stosunkowo odpoczynek po przejściach niedawnych wystarczył społeczeństwu naszemu, by nabrało nowych sił. Dziś przypływ tych sił odczuwa każdy, kto się przysłuchuje tętnu zbiorowego życia.

Wieją nam wprawdzie w oczy mroźne wichry przeciwieństw, ale i w mroźne dnie czuć się można

krzepkim i zdrowym, pełnym energii i woli, która łatwiej może tężeje i krzepnie w chłodnej atmosferze zimy, aniżeli w parnych upałach burzliwego lata.

Kronika literacka.

Czytamy w *Kuryerze Warszawskim* „Kolonie i stosunki niemieckie w Galicyi". Napisał G. Smólski. Kraków 1910 r. Nakładem „Straży Polskiej".

Urzędowa statystyka podaje, na podstawie ostatniego spisu ludności w r. 1900 niemców w Galicyi okrągło 212.000, co w stosunku do ogólnego zaludnienia kraju stanowi 1.66%.

W tych 212.000 ludności niemieckiej w Galicyi jest 132.000 żydów, którzy podali się przy spisie za niemców, tak, że na niemców chrześcijan przypada tylko 80.000. Przy obecnym ruchu syonistycznym, tudzież, biorąc pod uwagę, że przeważna część żydów-niemców przypada na Galicyę Wschodnią, gdzie między żydowstwem narodowo-niemieckiego poczucia niema — odlicza Smólski z liczby 132.000, co najwyżej 20.000 żydów-niemców i podnosi w ten sposób cyfrę niemców w Galicyi do 100.000.

Liczba ta sama dla siebie jest pozornie niewielka, jednak w naszem, wyjątkowem położeniu, wśród istniejących konjunktur politycznych i przy nadzwyczaj smutnych doświadczeniach z kolonizacyą niemiecką, liczba ta nabiera znaczenia i wkłada na publicystykę polską obowiązek zajęcia się bliżej sprawą ludności niemieckiej w Galicyi, a to dla obrony interesów narodowych, którym, jeśli ta ludność dziś jeszcze nie zagraża, to w przyszłości, przy możliwej zmianie stosunków, zagrażać może.

Wyczerpująca, oparta na drobiazgowem i nader sumiennem zbadaniu kwestyi, praca p. Smólskiego jest właśnie spełnieniem tego obowiązku. Otwiera nam ona po raz pierwszy oczy na rolę, jaką kolonizacya niemiecka spełnia w Galicyi.

Niepodobna przytaczać tu szczegółowych cyfr, charakteryzujących powolny zabór ziemi polskiej przez niemców. Dość powiedzieć, że według obliczeń Komornickiego, zabory niemieckie do r. 1848 pochłonęły z polskiego obszaru etnograficznego nie mniej jak 4.000 mil kw., czyli 230.189 kilometrów kwadr., t. j. przeszło 3 razy większą, niż królestwo bawarskie, a przeszło 16 razy tak wielką, jak królestwo saskie. W zaborze tym i Galicya nie stanowi wyjątku. Niemcy w niej idą ciągle naprzód, zorganizowani są narodowo, występują z żądaniem dla siebie mandatów poselskich, wichrzą w kraju, podnoszą krzyki o ucisku narodowości niemieckiej i t. d. A my — zaledwie zwracamy na to uwagę. Nie wiemy nawet, że w urzędowem *Ortsrepertorium* znajduje się 120 urzędowych nazw niemieckich, nadanych miejscowościom polskim (Andrichau Andrychów i t. d.), że w Galicyi jest przeszło 60 nazw miejscowych, wyłącznie niemieckich, używanych przez nas samych, których nazwy polskie poszły w zapomnienie (Preppersdorf, Brethelm, Ottenhausen, Mühlbach i t. d.), że jest nadto 18 osad z urzędowemi nazwami niemieckiemi, w których, podług ostatniego urzędowego spisu ludności, nie mieszka ani jeden Niemiec, w dodatku zaś do tego jeszcze 7 urzędowych niemieckich nazw miejscowości, posiadających tylko po kilku niemieckich mieszkańców. Koroną wszystkiego jednak jest 50 wyłącznie niemieckich nazw obszarów dworskich, gdzie nigdy nie było i obecnie też niema mieszkańców niemieckich, a z których prawie wszystkie posiadają polskich właścicieli

Tak wygląda sprawa niemiecka w Galicyi po uchyleniu tylko rąbka jej zasłony. Warto, doprawdy, za przewodem G. Smólskiego, zaznajomić się z nią bliżej.

Nowa gra. Prof. Józef Sas Jaworski, autor bardzo pouczającej zabawy grunwaldzkiej i bogatej w treść karty grunwaldzkiej, które oparł na tle patryotycznem, wynalazł także nową grę, podobną do gry w szachy, lecz o wiele przyjemniejszą, więcej myślącą i interesującą a która oparł o dzielność, męstwo i odwagę dawnych harcowników i dał jej nazwę gra cesarska (harcowników).

Wiele ciekawych kombinacyi nadają tej grze pola stratne, honorowe, zabicie wiezy, figurek cesarów, pionów honorowych, koni małych (niby jucznych) koni dużych (niby wierzchowych) z rycerzami i w ogóle większa ilość pól na szachownicy i figurek jak w zwykłych szachach.

Opatentowanie tej gry we wszystkich większych krajach europejskich jest już w toku.

KĄCIK JĘZYKOWY.

Artysta dramatyczny.

Nie jest to ani grzechem wobec logiki, ani błędem językowym nazywać się artystą dramatycznym, ale bądź co bądź trąci to zaściankową próżnością. „Artysta dramatyczny" przypomina owego szewca z małego miasta, co nazwał się „butotwórca". Skoro ani Matejko, ani Grottger, ani Siemiradzki nie tytułowali się „artystami malarskimi", jeno poprostu „malarzami" się zwali; skoro żadnemu z rzeźbiarzy, muzyków, architektów, nie urolło się nazywać: artystą „rzeźbiarskim", „muzycznym", „architektonicznym", a każdy był po prostu rzeźbiarzem, muzykiem, architektem, czemuż u nas aktor wstydzi się właściwej nazwy swojego zawodu i „artystą dramatycznym" się pisze. Jeżeli nie wstyd być malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem, a także autorem, dlaczego miałoby ujmą być dla aktora, gdyby go „aktorem" nazywano?

Pretensyonalność śmieszna, zaściankowa, ubliżająca powadze teatru, godności aktorów.

Rzecz to drobna, ale uwagi godna.

Zniknął z Tarnowa „lekotwórca" (aptekarz), zniknął „butotwórca" (szewc), może też zniknie „artysta dramatyczny", a zostanie aktor w towarzystwie poety, autora, muzyka, rzeźbiarza i t. d. *Cz. P.*

Wszystko l e c i i same k a w a ł k i.

U nas w Galicyi wszystko leci i są same tylko kawałki. Takie słowa, jak: wyaadzić, wznieść się, biedz, zbiedz, unosić się, spieszyć, padać, utwór, punkt, pół, niedojrzały, marny, rodzaj, dość, prawie i t. d. tak dobrze, jakby u nas nie istniały i nawet nie potrzeba ich wcale, bo wszystko zastępują bardzo dobrze w galicyjsko-polskim języku słowa: „lecieć" i „kawałki".

I tak mówi się u nas: „śmietanka wyleciała z garnuszka", „urzędnik wyleciał z posady", „facet lata za dziewczętami", „śnieg leci z nieba", „panie latają do kościoła", „turysta sleciał ze skały", nawet „czas u nas leci" i tak ciężkie przedmioty, jak kamienice, „lecą w powietrze".

Jeszcze gorzej jest z „kawałkami". Tu zwłaszcza cudzoziemcy, którzy nauczyli się mówić po polsku, są w prawdziwej rozpaczy, jak mają rozumieć takie wyrażenia: „To jest człowieka kawałek, urwisza kawałek, kobieciarza kawałek, mężczyzny kawałek, kobiety kawałek" — to też ze zdziwieniem pytają się sami siebie, jaki, który, kawałek i czemu tu nic niema całego, lecz jedynie same kawałki. W Galicyi „lecą kawałki", urządza się ludziom „kawały i kawałki", robi się w bilard „kawałki", pisze się „kawałki", ma się „kawałek" czasu, jest się zmęczonym „kawałek", jest się „kawałkiem" czegoś, a nawet gra się, śpiewa, bębni i morduje „kawałki". Z tego powodu można u nas słyszeć takie zdania: „Niech mi pan pokaże parę kawałków Beethovena!" albo: „Ogromnie mi się podobają kawałki Szopena, lubię je grać", lub: „Ależ ona morduje ten kawałek Wagnera", albo też: „Moja żona wciąż bębni tylko kawałki Liszta".

Mężczyźni mówią: „Ależ muzyka rznęła ten kawałek Straussa", pensyonarki zaś: „Bardzom ciekawa na ten kawałek Paderewskiego".

Nawet same kawałki u nas się jeszcze kawałkuje, nieraz bowiem można słyszeć: „Cudownie! ślicznie! niech pani będzie łaskawa jeszcze raz zaśpiewać bodaj kawałek tego kawałka". *(Słowo P.).*

Rozmaitości.

Agitacya Niemców w Galicyi. „Bund der christlichen Deutschen" w Galicyi posiada grupy miejscowe po różnych miastach niemieckich w Austryi. „Dziennik Cieszyński" ogłasza odezwę grupy miejscowej w Ustiu (Aussig) wysłaną do Cieszyna pod adresem jednego z Polaków o niemieckiem nazwisku. Odezwa brzmi następująco:

„Euer Wohlgeboren! In unserem Geburtslande (?) Galizien haben sich vor kurzer Zeit die Deutschen zu einem Bunde zusammengeschlossen, um — ohne Rücksicht auf die Konfession — die Vorteile der deutschen Bewohner dieses Landes zu wahren. Seitdem sind allerorten Ortsgruppen gegründet worden, auch eine akademische in Wien. Eine Tischlergesellschaft in Aussig hat die Absicht, eine weitere aussergalizische Ortsgruppe zu gründen. Aus diesem Grunde werden Euer Wohlgeboren ersucht, derselben durch Einsendung des Beitrages bei Benutzung des beiliegenden Erlagscheines als Mitglied beitreten zu wollen. Im Namen der Deutschgalizier besten Dank im voraus. Für die Tischgesellschaft Aussig: Leopold Rössler, k. k. Turnlehrer".

Dobrze przyjrzeć się z bliska robocie galicyjskich Niemców, postępującej nieustannie naprzód przy stałem poparciu Niemców tak austryackich jak pruskich.

Timeo Danaos et dona ferentes. Prezydyum m. Lwowa rozesłało dziennikom komunikat, w którym wyraża podziękowanie arcyksięciu Fryderykowi, właścicielowi browaru w Cieszynie, za nadesłane 500 koron na ubogich, na T. S. L. itd., a to z okazyi zaćzenia składu piwa cieszyńskiego we Lwowie.

Prezydyum patryotycznej stolicy kraju, które stać powinno na straży interesów narodowych, nie powinno było przyjmować tego daru, a to z dwu mianowicie względów.

Po pierwsze dlatego, że przyjęciem tych pieniędzy i ogłoszeniem zrobiono reklamę browarowi niemieckiemu, a więc ze szkodą piwowarstwa miejscowego. Sprawa ta niedawno omawiana była obszernie w naszem piśmie, narobiła w mieście niemałego rozgłosu i prezydyum m. Lwowa powinno było pamiętać, że w czasie, gdy się wciąż mówi o uprzemysłowieniu Galicyi, o popieraniu przemysłu krajowego, a bojkotowaniu obcego, nie można się bawić w kurtuazyę względem obcych geszefciarzy, którzy zdobywszy nowy rynek zbytu na swój kiepski produkt, dla zagłuszenia opinii, chcą się okupić kilkuset koronami.

Powiedzieliśmy zaś „kiepski produkt", bo piwo cieszyńskie nie cieszy się dobrą sławą wśród znawców, głównie pono dlatego, że woda, z jakiej się wyrabia, nie odznacza się należytą dobrocią.

To był wzgląd natury ekonomicznej, który wystarczał sam przez się, aby daru nie przyjmować. Drugi wzgląd jest jeszcze poważniejszy, natury narodowo-politycznej.

Browar cieszyński należy do kompleksu dóbr kameralnych arcyksięcia Fryderyka; zarządza dobrami tak zwana komora arcyksiążęca w Cieszynie, która — jak wiadomo — znana jest ze swego wrogiego usposobienia względem wszystkiego co polskie. Komora jest kuźnicą hakatystyczną, w której powstają wszelkie projekty i zamysły, skierowane ku pognębieniu żywiołu polskiego na Śląsku, komora działa w tym kierunku z niezbłaganą konsekwencyą i w ścisłem porozumieniu z hakatą pruską, a czego komora zapragnie, to musi się spełnić, bo i wszelkie urzędy i instytucye, państwowe, krajowe i gminne idą jej na rękę.

Komora pracuje usilnie nad wynarodowieniem ludu polskiego, wyzyskuje go w sposób najbrutalniejszy, wydzierżawiając go z mienia i traktuje ten lud, jakby był wyjęty z pod prawa.

Jest to polip o tysiącach macek, ssący krew ludności polskiej; rozrasta się coraz potężniej, a lud polski ginie w jego śmiertelnych uściskach.

Czy o tem wszystkiem wie arcyksiążę Fryderyk, czy nie wie, to dla nas obojętne, ale obojętne nie może być dla nas to, gdy jeden z pełnomocników, zainstalowawszy zbyt swego piwa we Lwowie, wymierza nam policzek w postaci kilkuset koron na cele „dobroczynne", a z tego 150 koron na cele Tow. Szkoły Ludowej, na to Towarzystwo, które z takim trudem utrzymuje kilka szkół polskich na tych samych kresach, tak silnie zagrożonych przez wrogie żywioły, gdzie komora arcyksięcia odmawia ludowi polskiemu prawa do szkół polskich, nie daje mu upominać się o prawa obywatelskie, zabrania mu nieomal żyć i oddychać.

Dary od takich przyjaciół odrzucać trzeba z pogardą.

Statystyka poznańska. *Kuryer Poznański* świerdza, na podstawie dokładnej kontroli obywatelskiej, że podczas pobytu cesarza Wilhelma w Poznaniu dekorowało i iluminowało swe zakłady ogółem 235 Polaków, w tem 80-ciu restauratorów i szynkarzy i 34-ch fryzerów.

„Do tego należy doliczyć — pisze *Kuryer* — kanoników (z wyjątkiem ks. kan. Dalbora) i księży na Tumskiej wyspie, tak, że można liczbę zaokrąglić na 250 Polaków.

Ażeby liczbę tę stosownie ocenić, należy uwzględnić, że w przemyśle, handlu i rzemiośle zatrudnionych jest w Poznaniu 2.500 Polaków, czyli, że około 10 proc. Polaków dekorowało, względnie iluminowało. Stosunek zmienia się znacznie, jeżeli się odliczy restauratorów (i destylatorów) oraz fryzerów. Restauratorów (i dystylatorów) bowiem zaangażowało się 80 na 204 Polaków, a więc 39 proc. — dalej fryzerów 35 na 62 Polaków, czyli 55 proc.,—z zawodów innych natomiast 136 na około 2.200 Polaków, czyli 6 proc. Rodzin polskich jest w mieście naszym ogółem 18 tys., licząc 5 głów przeciętnie na rodzinę; w dekoracyach przeto względnie iluminacyach wzięć udział zaledwie 1,4 proc. rodzin polskich.

Co dotyczy cechów, mamy także informacye: z cechu krawieckiego, liczącego 150 członków, stanęło w szpalerze 3, w tem 2 Polaków, z cechu szewskiego

także 3, w tem 1 Polak. Natomiast strzelcy Polacy stawili się licznie".

Hamlet i Mazepa wobec władzy. Helena Modrzejewska w pamiętnikach, drukowanych pośmiertnie w krakowskim *Czasie*, taki postawiła pomnik władzom warszawskim z przed lat czterdziestu i ich szczególnym związkom z kulturą literacką i z teatrem:

„Konktraktem miałam zawarowane prawo wybierania sześciu sztuk rocznie, które musiały być grane, bez względu na upodobania dyrekcyi teatru. Zastrzeżenie to napawało mię uczuciem dumy, ale zarazem i odpowiedzialności: od mego rozeznania i sądu zależało, by na pierwszą podówczas scenę polską wprowadzić najwspanialsze utwory poezyi wszechświatowej i — polskiej.

Na pierwszy ogień poszedł „Hamlet", którego naczelny cenzor odrzucił z miejsca z oburzeniem, gdyż, jak się wyrażał, „zabijanie króla na scenie poddać komuś może nielojalne myśli"! Poszłam tedy do pani Muchanowowej, która zaprosiła do siebie tego dygnitarza i zdołała go szczęśliwie przekonać, że zabójstwo to spełnione jest „ściśle ze względów rodzinnych, bez politycznego zabarwienia, podsunąć więc nikomu nie może zdrożnych myśli". I tylko dzięki temu dać mogliśmy „Hamleta", który też odtąd ostał się w repertuarze. Publiczność była wręcz rozentuzjazmowana grą Królikowskiego, jako „Hamleta", a gdy się i ja pokazywałam na ulicach, za memi plecami rozbrzmiewała wielokrotnie pieśń Ofelii, którą Moniuszko dla mnie skomponował, a która podobała się widocznie wielce.

Drugą sztuką, zabronioną przez cenzora, a uratowaną znów przez panią Muchanowową, był „Mazepa". Cenzor w żaden sposób oswoić się nie chciał z myślą, by na scenie ukazać się miał król polski. I nie tylko na scenie. Oświadczył mi wręcz:

— Co? król polski? Głupstwo, wierutne głupstwo! Takich urzędników nigdy nie było: bywali jedynie jenerał — gubernatorowie, podwładni cesarza rosyjskiego! Niech pani sobie to zapamięta raz na zawsze.

I na wszelkie moje wywody historyczne odpowiadał uparcie:

— Ani mowy o tem być nie może. Król polski? — nigdy!

Ale i tym razem nie dałam się zbić z tropu i znów udałam się o pomoc do pani Muchanowowej. I ta radę znalazła, nie poszło to jednak gładko i tym razem ustępstwa musiały być obopólne: pan Ryżow, tak zwał się ów cenzor, oświadczył, że o ileby jego mała przyjaciółka otrzymała jakaś małą rólkę w komedyi, pojawienie się króla polskiego na scenie nie byłoby może tak niebezpieczne, gdyby go nazwać zamiast królem — księciem. I tak się też stało i „Mazepa" odtąd grywany bywa w Warszawie.

Co pisze „Chołmskij Listok". Jeden z głośniejszych w Chełmszczyźnie działaczy, protojerej Lubarskij, umieścił w Nr. 10 wydawanego w Chełmie pisemka *Chołmskij Narodnyj Listok* opowiadanie dydaktyczno-religijne.

Po przydługim wstępie o tem, jak czują się nieszczęśliwymi ci wszyscy, co z prawosławia przeszli na katolicyzm i t. p., autor przedstawia nam właśnie taką „mołodycę", która przeszła na katolicyzm, ale w dzień zaduszny poszła na nabożeństwo do cerkwi, by pomodlić się na grobie matki. Tu spotkała swą starszą sąsiadkę, a że „ci, co przeszli do kościoła, czegoś się zawsze gniewają, więc i jej zachciało się ten gniew na kogoś „wylać", podeszła więc do sąsiadki i powiada:

„Ach jaki ten pop straszny z takimi długimi włosami i siwą brodą; a jaki to śliczny polski ksiądz bez brody i długich włosów... ksiądz zupełnie podobny do Pana Jezusa".

„Kasiu, cóż ty mówisz — odpowiada sąsiadka — czyżeś ty gdzie widziała Pana Jezusa bez brody i długich włosów". — „A widziałam". — „Gdzie? — „A w kościele". — „Opamiętaj się, co ty mówisz. Toż ja byłam w kościele, lecz i w kościele nie widziałam ani Pana Jezusa ani św. Mikołaja bez brody i ty nie widziałaś, ale wasza polska złość i nienawiść do świętej cerkwi ruskiej oślepiła was, jak oślepiła kiedyś żydów wobec Pana Jezusa, którego oni ukrzyżowali, a wy teraz krzyżujecie przez waszą ślepotę, bo nie widzicie tego, co powinien widzieć każdy, co ma oczy. Jeżeli kto jest podobny do Pana Jezusa, to właśnie ruscy księża, których wy na śmiech nazywacie popami, a nie wiecie, że pop, papa, papież to jedno i to samo — znaczy ojciec *(bat'ko)*, tak jak my nazywamy księdza naszego *(batiuszka)*. Otwórz lepiej oczy Kasiu, przypatrz się, gdy będziesz w kościele obrazom Pana Jezusa i św. Mikołaja, i wtedy nie będziesz mówiła, że ogoleni i ostrzyżeni jak makówki księża podobni są do Pana Jezusa, bo Pan Jezus i w cerkwi i w kościele, przedstawiony jest z długimi włosami i brodą i w szerokiem ubraniu, bo do Pana Jezusa podobni są nie polscy księża, którzy was uczą nie miłości Chrystusowej, lecz nienawiści dyabelskiej, lecz podobni są do Pana Jezusa ruscy księża-ojczulkowie, którzy i w nauce i w życiu i z twarzy i z ubrania starają się być podobni do Pana Jezusa, do św. Apostołów i do św. Mikołaja cudotwórcy".

„Ot, jak spełniają się słowa Proroka, kończy protojerej Lubarskij: „ludzie mają oczy i nie widzą, mają uszy i nie słyszą, bo zatwardziałe serca ich, a złość i nienawiść zamyka ich uszy i oczy. Och otwórz! otwórz oczy, ludzie ruski".

Bojkotowany proboszcz. Systematyczne nadużywanie kościoła w Prusiech w celach polityczno-germanizacyjnych i wielka skłonność niemieckich władz kościelnych do poddawania się pod tym względem wskazówkom rządu, prowadzi coraz częściej do zatargów, które kościołowi z pewnością na dobre nie wyjdą. O szczególnie drastycznym wypadku donoszą obecnie pisma z Prus Zachodnich:

W parafii Świecie, w tej dzielnicy, prawie czysto polskiej, biskup chełmiński mianował przed kilku tygodniami proboszczem znanego ze swej zaciętości antypolskiej Niemca ks. Retzlaffa. Wobec tej nominacyi parafianie zanieśli do biskupa uzasadniony szczegółowo protest, którego jednak do tej pory nie uwzględniono. Wobec tego — jak donosi organ duchowieństwa pelplińskiego „Pielgrzym" — parafianie grożą zupełnem bojkotowaniem narzuconego sobie proboszcza. Oświadczają, że nie będą chodzić do niego do spowiedzi, uczęszczać na nabożeństwa i kazania, nie będą dawać na Msze św. za dusze zmarłych i na inne intencye i nie będą go przyjmować na kolendę w swoje domy. Parafianie nie chcą księdza, którego znają jako zaciętego wroga swej narodowości, lecz domagają się kapłana wzorowego, do którego będą mieli zaufanie i przywiązanie.

Wobec nowego dekretu papieskiego o usuwaniu proboszczów, ten protest powinien wystarczyć, aby przekonać władzę duchowną chełmińską o konieczności cofnięcia nominacyi.

Niemczenie kraju. Otrzymujemy pismo następujące:

Panowie Józef i Dominik hr. Potoccy zakupili na spekulacyę drzewostan w lasach gr.-kat. metropolii w Perehińsku. Do wywozu tego drzewa Potoccy budują kolejkę leśną, a chociaż mamy w kraju dość przedsiębiorstw, zajmujących się budowami kolejowemi, oddali Potoccy budowę tej kolejki niemieckiej firmie Orenstein i Koppel. Firma ta, objąwszy budowę tej kolejki nie zadawala się tem, że z kraju naszego wywiezie wielkie zyski, lecz uważa się także za ekspozyturę niemiecką.

Do firmy tej zwróciłem się w sprawach moich klijentów, a na pisma moje, wystosowane do nich po polsku, otrzymałem następującą odpowiedź:

„Perehinsko 12 October 1910. Herrn Dr. Simon Safier, Advokat Rożniatów. Wir retourniren Ihnen anbei Ihre uns zugekommenen 3 Schreiben vom 8-ten und 10-ten ac. und können von dem Inhalt derselben keine Kenntniss nehmen, weil wir der polnischen Sprache nicht machtig sind. Wir bitten um gefl. Einsendung einer deutschen Übersetzung und zeichnen Hochachtungsvoll Orenstein & Koppel Geselschaft m. b. H. Bauleitung der Waldbahn Broszniów-Perehińsko-Osmołoda".

Ponieważ firma ta ogłasza się w naszych pismach należy przeto ogłosić, co się pod nią ukrywa.

Dr. Szymon Safier.

Ludność miast Królestwa Polskiego. Warszawa według obliczeń z d. 1 stycznia 1910, liczy 781.000 mieszkańców, a w tem blisko 280.000 żydów. Łódź d. 1 stycznia 1909 miała 341.000 mieszkańców (podajemy cyfry okrągłe) w tem żydów 79.000. Do większych miast należą Sosnowiec (70.000), Częstochowa (70.000), Lublin (64.000), Będzin (42.000), Kalisz, Radom, Piotrków (po 40.000), Pabianice (36.000), Włocławek (33.000), Płock (32.000), Kielce (31.000), Tomaszów, Siedlce, Łomża, Suwałki, Chełm i Zduńska Wola (od 22—28 tysięcy).

Kronika „Straży Polskiej".

Wycieczka „Straży Polskiej" do Królestwa Polskiego i na Litwę wyruszyła 17. września z Dębicy, która była punktem zbornym dla jej uczestników.

Po przeprawieniu się przez Wisłę w Nadbrzeziu, wycieczka zwiedziła prześliczne zabytki Sandomierza, z którego po przenocowaniu podążyła parostatkiem do Kazimierza. Kilka godzin starczyło zaledwie na powierzchowne obejrzenie tego uroczego zakątka, w którym wspaniała przyroda rywalizuje z cennymi, nigdzie w tym rodzaju niespotykanymi na ziemi polskiej zabytkami architektury XIV w. Z Kazimierza udali się wycieczkowcy powozami „najpiękniejszą w Polsce drogą bitą" do Puław; piękność tej drogi polega zarówno na ślicznych widokach, jak i na imponującej alei olbrzymich paręsetletnich topoli W Puławach wycieczka przenocowała, a nazajutrz zwiedziła słynny pałac i park Czartoryskich Z Puław udano się koleją do Lublina, który posiada w całem Królestwie najcenniejsze zabytki przeszłości, zwłaszcza związane z tak wielkim faktem dziejów jak Unja lubelska. Nie tylko stary Lublin, ale i nowy wart poznania; równie pięknego miasta prowincjonalnego niema w całej Polsce.

Z Lublina wycieczka ruszyła do Wars awy, gdzie zabawiła pięć dni. Następnie przez Grodno podążyła do Wilna, skąd wyniosła niezapomniane wrażenia. W Wilnie uczestnicy wycieczki rozdzielili się: jedni pojechali jeszcze do Trok i Kowna, drudzy, więcej krępowani czasem, udali się w podróż powrotną przez Warszawę do Galicji.

Obszerniejsze sprawozdanie z wycieczki pomieścimy w następnym zeszycie Straży Polskiej. Tu musimy jeszcze zanotować, że wszędzie spotykała się ona ze serdeczną gościnnością.

W całym Krakowie jedynie Straż Polska uczciła pamięć ś. p. Marji Konopnickiej przez urządzenie nabożeństwa za spokój jej duszy w kościele akad. św. Anny.

Nabożeństwo odbyło się d. 14. października. Odprawił je ks. dr. Józef Caputa, proboszcz kościoła św. Anny.

Na środku świątyni stał katafalk rzęsiście oświetlony i otoczony zielenią.

Podczas nabożeństwa chór akademicki odśpiewał Lambineta „Mszę żałobną", Walewskiego „Modlitwę" (do słów Konopnickiej) i Rodera „Salve Regina".

Udział publiczności był bardzo liczny.

Zarząd główny Straży Polskiej złożył serdeczne podziękowanie tak ks. dr. Józefowi Capucie za bezinteresowne odprawienie nabożeństwa jak i chórowi akademickiemu i jego dyrygentowi p. Wallek-Walewskiemu za również bezinteresowne wykonanie pieni religijnych.

Piękny artykuł p. Marji Czerszykówny „Co czynić dla Polski" umieszczony w lipcowym (grunwaldzkim) zeszycie Straży Polskiej, został przedrukowany przez Gazetę Kielecką pod zmienionym tytułem: „Głos Polski". Dzień warszawski otrzymawszy Gazetę Kielecką umieścił wyjątek z tego „pięknego listu" (?) — dodając, że „głos ten godny jest jaknajszerszego rozpowszechnienia w prasie polskiej". Innego wszakże zdania był rząd rosyjski, który za umieszczenie owego wyjątku ze Straży Polskiej skazał „administracyjnie" wydawnictwo Dnia na 50 rubli kary.

Koło akademickie „Straży Polskiej" rozpoczęło na nowo zwiedzanie fabryk krajowych.

W połowie października udało się grono jego członków do Sidziny dla przekonania się o stanie tamtejszej fabryki zapałek i dla zaznajomienia się z ich produkcya. Sprawozdanie z tej wycieczki podajemy wyżej w dziale „Z przemysłu i bojkotu".

W ostatnich dniach Koło zwiedziło fabryę tutek p. Herliczki.

Sekcya ekonomiczna „Straży Polskiej" pracuje obecnie nad zaprowadzeniem nowego u nas rodzaju przemysłu, za którego wyroby idą od nas za granicę wielkie pieniądze. Sekcya znalazła kapitalistę chętnego do wejścia w spółkę z człowiekiem fachowym — stąd też mamy nadzieję, że niezadługo owa fabryka powstanie.

Akademickie koło „Straży Polskiej" postanowiło urządzić szereg odczytów o przemyśle polskim, ilustrując je przeźroczami fabryk. Zwróciło się przeto do zarządów fabryk, aby zechciały przesłać przeźrocza, lub wrazie zaś braku gotowych klisze (zdjęcia fotogr.). Przytem o ile możności zależy na zdjęciach fabryki zewnątrz i wewnątrz przy pracy. Ponieważ Koło działalność swoją już rozpoczęło, przeto uprzejmie prosi o możliwie jaknajprędsze nadesłanie wymienionych klisz. W przeciwnym bowiem razie zmuszone byłoby obejść się bez nich przy odczytach, co byłoby tylko ze szkodą dla fabryk.

W razie braku gotowych przeźroczy, Koło uprasza o nadesłanie mu przekazem K 5 od trzech klisz (od każdej zaś więcej ponad trzy po 2 K) na koszta połączone z przerobieniem na przeźrocza odpowiednie

do skioptikonu. Klisze muszą być formatu 9—9. Do przesyłki klisz kożo prosi o dołączenie wyczerpującego rysu historyi fabryki, uwzględniającego głównie:

1) stopniowy jej rozwój,

2) ilość zbytu produkcyi (w określonych jednostkach) poza krajem (gdzie?) w stosunku do zbytu w kraju ($^{x}/_{10}$: $^{x}/_{10}$),

3) obecny stan fabryki, t. j. ilość i jakość maszyn, mianowicie czy służą do produkcyi automatycznej, czy ręcznej, oraz czy są poruszane siłą parową czy elektryczną,

4) ilość i narodowość pracujących w fabryce ludzi,

5) o ile możności również sumę podatków płaconych rocznie.

JW. Leontyna Skolimowska z Magdalenki złożyła na cele „Straży“ kwotę 200 K. Szlachetnej ofiarodawczyni Zarząd główny wysłał serdeczne podziękowanie.

Odezwy Ligi Narodowej.

P. L. N. jest „**Związkiem Polskim**“, niezawisłym od stronnictw politycznych, stanowych lub wyznaniowych, dążącym do budzenia i utrzymywania świadomości narodowej, poczucia łączności i wspólności interesów wszystkich rodaków, Towarzystw i organizacyi polskich, do wszechstronnego podniesienia dzielności, dobrobytu i prawdziwej kultury Narodu, zbierającym środki pieniężne na cele ogólno narodowe i spełniającym odpowiednio do sił i poparcia najważniejsze zadania programem swym określone.

Towarzystwo to działa w porozumieniu ze „Strażą Polską“ w Krakowie i dlatego ogranicza swe działanie do Lwowa Okręgu i wschodniego naszego kraju.

Rodacy, nie zapominajcie o tem, że w narodzie tak zagrożonym jak nasz, każda jednostka chętna do działania, każdy grosz na cele obrony naszego bytu poświęcony, ma swe znaczenie dla dobra ogółu, pamiętajcie, że obojętność i ociąganie się szkodzi sprawie narodowej i zniechęca inne jednostki, chętne i zdatne do pracy — więc, nie czekając na wielkie, porywające czyny, wstępujcie wszyscy w nasze szeregi jako członkowie czynni, spełniając jako pierwszy swój obowiązek złożenie podatku narodowego na rzecz P. L. N., który dobrowolnie, odpowiednio do swego dochodu rocznego ustanowicie.

Roczny podatek narodowy na rzecz P. L. N. wynosić powinien około $^{1}/_{500}$ części dochodu, czyli 2 kor. od 1000 kor. Najniższa wkładka roczna 2 korony. Członkowie płacący 6 lub więcej koron otrzymają organ Towarzystwa *Straż Polską* bezpłatnie. — Poczłowy rach. czekowy l. 114.853.

Do Członków Ligi!

Każdy członek Ligi powinien pozyskać dla naszego Towarzystwa jednego lub więcej nowych członków — wtedy szeregi nasze wzmogą się o tysiące świeżych zwolenników i staną się najcenniejszym, bo żywym i twórczym pomnikiem grunwaldzkim!

Do Komitetów i Delegatów Ligi!

Prosimy o samodzielne szerzenie idei przewodnich P. L. N. w swych okręgach i o nadsyłanie sprawozdań, wkładek zebranych i wniosków swoich wprost do Biura skarbnika Ligi, (Lwów, Czarnieckiego 3).

Tamże są do nabycia pocztówki P. L. N. z „wezwaniami narodowemi“. 30 kart za 1 kor.

Datki na fundusz budowy domu P. L. N. prosimy nadsyłać wprost do biura skarbnika we Lwowie. Na zawiązek tego funduszu przeznaczył Wydział Tow. kwotę **1000** koron.

Odniemczenie Galicyi.

Szanownych delegatów Ligi Narodowej prosimy o uważne przeczytanie sprawozdania z Wiecu, dotyczącego odniemczenia naszego kraju i o **postawienie odnośnych wniosków** na Wiecach lub obchodach polskich, jakie się w danym okręgu w najbliższym czasie odbędą.

Wyjątek ze statutu Stowarzyszenia „Straż Polska“.

§ 3. Celem „Straży Polskiej“ jest strzeżenie i obrona duchowych i materyalnych narodowych interesów polskich, uświadamianie społeczeństwa polskiego o obowiązkach narodowych i pilnowanie, aby je członkowie Stowarzyszenia gorliwie wypełniali, dążenie do uzyskania samodzielności ekonomicznej, popierania instytucyi o podobnych dążeniach, a w szczególności mających na celu obronę kresów.

§ 4. Środkami do osiągnięcia tego celu są:

a) podnoszenie dobrobytu narodowego (popieranie przemysłu i handlu swojskiego, dawanie inicyatywy i pomocy ku zakładaniu sklepów, pracowni, fabryk, instytucyi finansowych, oszczędnościowych, kredytowych, zarobkowych i gospodarczych);

b) popieranie kupców i przemysłowców, którzy się poddadzą kontroli „Straży Polskiej“, że wedle możności zastępują obce towary swojskimi;

c) zawiązanie stosunków handlowych z innemi ziemiami polskiemi;

d) strzeżenie praw i czystości języka polskiego;

e) opieka nad wychodźtwem i kolonizacyą;

f) udzielanie zasiłków i stypendyów;

g) udzielanie członkom bezpłatnej porady prawnej;

h) informowanie pism zagranicznych o sprawach polskich;

i) publiczne wiece i zgromadzenia, odczyty i pogadanki, przedstawienia sceniczne i zabawy ludowe;

j) urządzanie uroczystych obchodów narodowych;

k) urządzanie kształcących wycieczek ludowych do godnych zwiedzenia miejscowości w ziemiach polskich;

l) zakładanie i utrzymywanie domów ludowych na powyższe zebrania i pomieszczenie uczestników wycieczek;

ł) wydawanie i popieranie odpowiednich dzieł, czasopism i wydawnictw;

m) wydawanie własnego czasopisma, poświęconego sprawom Stowarzyszenia;

n) inne dozwolone środki działania.

§ 7. Członkiem „S. P.“ zostaje bez różnicy płci każdy Polak, którego na członka przyjmie Zarząd jednego z Kół, lub Zarząd Główny. Członkami Stowarzyszenia mogą być także osoby prawne; korzystają one z praw i wypełniają obowiązki członków przez osobę fizyczną, pisemnie do tego upoważnioną.

§ 8. Członkowie „S. P.“ dzielą się na zwyczajnych, wspierających, założycieli i honorowych.

Każdy członek zwyczajny ma obowiązek uiszczać roczną wkładkę, której wysokość oznaczy Zarząd Główny*). Kto tytułem jednorazowej wkładki uiści najmniej 50 K, zostaje członkiem wspierającym. Kto zaś tytułem jednorazowej wkładki uiści najmniej 200 K, zostaje członkiem założycielem.

Każdy członek jest wybieralny na wszystkie urzędy Stowarzyszenia.

*) Najniższa wkładka wynosi obecnie 4 K rocznie. Członek ma prawo prenumerować organ Towarzystwa po cenie zniżonej 2 K rocznie.

Dołączamy czeki pocztowej Kasy Oszczędności dla tych prenumeratorów i członków, którzy zalegają z wkładkami za II. półrocze lub z prenumeratą. Kwota zalegająca jest wyrażona na każdym czeku.

Treść Nru 29 i 30: Zbrodnia na Jasnej Górze przez K. Bartoszewicza. — † Marja Konopnicka. Jubileusz Konopnickiej w Krakowie. Deklaracja Konopnickiej. — Bóg wie kto, przez E. Orzeszkową (fejleton, dokończenie). — Pamiętniki z r. 1863 Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna (ciąg dalszy). — Do Częstochowskiej, pocuja Wacława Wolskiego. — Ku granicy, chrzest z czasów legionów, przez Stanisława Ostrowskiego. — Obraz M. Boskiej Częstochowskiej na sejmie grodzieńskim 1793, przez ks. Leona Rankowskiego. — Vischer czy Stwosz? — Rada Narodowa przez Edwina Hauswalda. — Loterja fiziczowa w Galicyi. — Kopernik przeciw Krzyżakom. — Posiew nienawiści, przez krzywego. — Moskiewska Lechja (Aksinja Szymańskiego), przez kh. — Wezwania Polskiej Ligi Narodowej. — Z naszego przemysłu i bojkotu: Zapałki siedzińskie, Odpadki metalowe, Guzikarstwo, „Pamiętniki“. — Komunikat P. L. N. Uwagi przez K. B. — Z Warszawy (korespondencja). — Kronika literacka. — Kącik językowy. — Rozmaitości. — Kronika „Straży Polskiej“. — Odezwy Ligi Narodowej. — Wyjątek ze statutu Stow. „Straż Polska“. — Ogłoszenia.

Najpopularniejsze tytonie

są: tak zwana **„siedemnastka“** (Feiner Herzogowina Rauchtabak) paczka 34 halerze, i tak zw. **„trzynastka“** (Mittelfeiner türkischer Rauchtabak) paczka 26 halerzy.

Te dwie odmiany tytoniu, w równych częściach zmieszane, dają doskonałą mieszankę. — Bardzo smaczną jest w paleniu i nadaje się znakomicie **do tutek „NORIS“ oznaczonych literą N**

Również nadzwyczaj smaczną jest w paleniu ta mieszanka w bibułkach cygaretowych

„POBUDKA“

WYROBU FABRYKI „NORIS“

Mra W. Bełdowskiego w Krakowie.

Cena: **„Pobudka** w książeczkach 4 hal. — w opakowaniu patentowem 6 hal. Zwolennikom kręconych papierosów zwracam uwagę na bibułki **„Pobudka“.**

Przestańcie palić przeźroczyste bibułki!

Wyrób krajowy **Biura amerykańskie mahoniowe i dębowe** (materyał doborowy, suchy) wyrabia

Pracownia art.-stolarska Franciszka Fysonia

absolwenta c. k. Muzeum technologicznego we Wiedniu

:: **w Krakowie — Półwsie Zwierzynieckie, ulica Kościuszki L. 2.** ::

Biurka te są stale na Wystawie budowlanej — Straszewskiego 27. — Tel. 15.

Przedpłata roczna: w Warszawie 3 rb. z przesyłką poczt. 4 ruble.

„PRĄD“

Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy.

Adres Redakcyi i Administracyi: **WARSZAWA, Warecką 10 m. 11.**

„PRĄD“ jest pismem młodych, którzy postawili sobie za cel kształcenie charakterów i uświadomienie społeczne w duchu chrześcijańskim i narodowym.

„PRĄD“ przedewszystkiem uwzględnia sprawy społeczne i związane z niemi zagadnienia ekonomiczne.

„PRĄD“ stojąc na gruncie chrześcijańskim i narodowym, nie jest rzecznikiem żadnego stronnictwa politycznego.

„PRĄD“ szeroko uwzględnia sprawy studenckie i uniwersyteckie.

„PRĄD“ informuje w kwestyach naukowo-pedagogicznych i samokształcenia.

„PRĄD“ do każdego numeru dołącza specyalny dodatek p. n. „DZIAŁ MŁODZIEŻY“.

Administracya w Warszawie wyśle prospekty bezpłatnie, a numery okazowe po otrzymaniu 7-kopiejkow. marki na koszta przesyłki.

REDAKTOR i WYDAWCA **Adam L. Szymański.**

Przedpłata roczna zagranicą 10 koron, 9 marek, 11 franków, 2 dolary 10 ct., 9 szylingów.

Rok założenia 1900. Medale, dyplomy i listy uznania

INŻYNIEROWIE-ARCHITEKCI

J. SOSNOWSKI i A. ZACHARIEWICZ

PIERWSZE KRAJOWE

Przedsiębiorstwo robót żelazno-betonowych

WE LWOWIE, ul. Na Błonie L. 3 (dom własny).

Telefon Nr. 470.

W KRAKOWIE, ulica Swoboda L. 2.

Telefon Nr. 137 b.

Kierownik Filii na Zachodnią Galicyę Inż. S. G. ŻELEŃSKI.

Adres telegraficzny: **Hennebique** Lwów i Kraków.

Oddział betonowo-żelazny systemów Hennebique i Wayssa:

Mosty, szluzy, stropy, kopuły, piloty, akwadukty, tunele, zbiorniki, schody, syfony, wieże wodne i t. d. 275 wykonanych budowli, 167 wykonanych mostów, 6 zbiorników na ropę i t. d.

Oddział fabryczny:

Wyroby betonowo-żelazne, płyty stropowe, płyty do ścian, płyty trotuarowe i krawężniki, płytki posadzkowe, rury kanałowe, przepusty, żłoby cementowe automatyczne, podciągi betonowe nad drzwi i okna, cegły lekkie dla ścian działowych, cegły cementowe itd.

Cena 5 koron z przes. 5·50

HOŁD GRUNWALDOWI

wspaniałe album literacko-artystyczne

w ozdobnej stylowej oprawie

Dla Członków „Straży Polskiej" cena zniżona

za egzemplarz 4 kor. z przesyłką 4·50 „

JEST DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH, u wydawcy (FR. TERAKOWSKI, Mikołajska 13, Kraków) i w biurze „STRAŻY POLSKIEJ" (Kraków, Floryańska 1).

1774 Blizko 1½ wieku istnienia 1910

Najstarszy dziennik polski

Gazeta Warszawska

założona w roku 1774

Gazeta Warszawska jest wielkim organem codziennym, organem obrony interesów polskich i pracy polskiej na wszystkich polach, który notuje i oświetla wszelkie ważniejsze objawy życia polskiego, w kraju i w pozostałych dzielnicach, a także informuje o doniosłejszych zdarzeniach życia zagranicznego, dając ciągły obraz rozwoju politycznego międzynarodowej

Gazeta Warszawska utrzymuje bliski kontakt z Kołem Polskiem w Petersburgu, bacznie śledzi wszelkie zmiany położenia naszego w Państwie, rozwój ustawodawstwa państwowego, oraz położenia stosunków rosyjskich, od których

Gazeta Warszawska podkreśla wszelkie zdrowe objawy naszego życia wewnętrznego, wszelką pracę dodatnią, wszelkie poczynania obywatelskie, a jednocześnie wykazuje i oświetla z narodowego stanowiska objawy ujemne, czynniki rozkładu, które naród pragnący żyć i dbały o swą przyszłość ze swego łona usunąć musi.

„PRZED STU LATY".

„Gazeta warszawska" zaprowadziła dział wspomnień z przed stulecia, istniejący w niektórych dziennikach zachodnio-europejskich. W tym dziale dwa razy na tydzień podawane są wyjątki z numeru „Gazety warszawskiej", który się ukazał sto lat temu („Gazeta warszawska" w owych latach ukazywała się dwa razy na tydzień). Wspomnienia te dotyczą obecnie bardzo doniosłego w dziejach Europy okresu napoleońskiego, u nas zaś są wspomnieniami czasów Księstwa Warszawskiego.

Badanie rozwoju pracy w całym kraju, **zespolenie polskiej Warszawy z prowincyą**, stawia sobie „Gazeta Warszawska" jako jedno z najpierwszych swoich zadań, uważając je za główny warunek zdrowego rozwoju naszego życia i myśli narodowej naszej wewnętrznej spójności i mocy.

Stałymi członkami redakcyi lub współpracownikami „Gazety warszawskiej" są pp.:

Zygmunt Balicki, Kazimierz Bartoszewicz, Stanisław Bukowiecki, prof. Ignacy Chrzanowski, Zdzisław Dębicki, Roman Dmowski, Stefan Dziewulski, Jerzy Gościcki poseł Władysław Grabski, prof. Stanisław Grabski, poseł Władysław Jabłonowski, Tadeusz Jaroszyński, Maryan Kiniorski, Lucyan Komierowski, Tadeusz Konczyński, Stanisław Kozicki, Maryan Krzesinowski, Maryan Lutosławski, prof. Wincenty Lutosławski, Antoni Maryński Znaczewski, Jadwiga Marcinowska, Zygmunt Morakowski, Mieczysław Niklewicz, Adam Nowicki, Franciszek Nowodworski, Edward Paszkowski, Henryk Piątkowski, Stanisław Pieńkowski, Janina Popławska, Ks. Sewer. Pr. Pawski Władysław Prokesch, Henryk Radziszewski Władysław St. Reymont, dr. Leon Rutkowski, Antoni Sadzewicz, Gustaw Simon, Czesław Sobolewski, Jan Stecki, poseł Józef Świerzyński, prof. Adam Szelągowski, Feliczan Szopski, Kazimierz Tetmajer, Zygmunt Wasilewski, Bohdan Wasiutyński, Henryk Wiercieński, Ludwik Władek, Jan Załuska, Wincenty Zwoliński i inni.

Telefony: Redakcyi 88, Administracyi 25-51, Drukarni 172-28. Redakcya i Administracya: ulica Szpitalna L. 14, w Warszawie.

Adres dla listów: „Gazeta Warszawska", skrzynka poczt. L. 257 w Warszawie.

Cena „Gazety Warszawskiej": w Warszawie: rocznie rb. 9, półrocznie rb 4 kop. 70, kwartalnie rb. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75; **z przesyłką pocztową:** rocznie rb. 12, półrocznie rb 6, kwartalnie rb. 3; **za granicą:** rocznie rb. 18, półrocznie rb. 9, kwartalnie rb 4 kop. 50. — Zmiana adresu 20 kop — Za odnoszenie do domu 10 kop. miesięcznie. — **Cena numeru pojedynczego 3 kop.**

Numery pojed. sprzedawane są we wszystkich agencyach, kantorach pism, kioskach i na kolejach.

ZMIANA LOKALU.

Pracownia krawiecka JÓZEFA SKWARCZYŃSKIEGO

przy ulicy Szpitalnej — została przeniesioną

na ulicę Mikołajską L. 11.

Poleca się łaskawym względom Szan. P. T. Publiczności.

PIERWSZA GALICYJSKA

PAROWA FABRYKA

Papy dachowej i Płyt izolacyjnych

w Podgórzu na Zabłociu.

Dostarcza towaru pierwszorzędnej jakości tak całymi wagonami jak i częściowo wprost Odbiorcom po cenach ściśle fabrycznych.

Oferty, próbki przesyła się na żądanie odwrotną pocztą.

PRZESTAŃCIE PALIĆ
PAPIEROSY W TUTKACH KLEJONYCH

TECHNIKA XX WIEKU
DAŁA MOŻNOŚĆ ZASTĄPIENIA RĘCZNEJ ROBOTY MASZYNAMI, KTÓRE PRZY POMOCY SIŁY ELEKTRYCZNEJ WYRABIAJĄ TUTKI

TUTKI MASZYNOWE SĄ BEZWZGLĘDNIE LEPSZE, TAŃSZE I HYGIENICZNIEJSZE.

POLECA SWOJE WYROBY
ELEKTRYCZNA FABRYKA TUTEK
M. PASCHALSKIEGO
W KRAKOWIE.

„NIWA POLSKA"
największy w Galicyi i najtańszy tygodnik ilustrowany, poświęcony sprawom politycznym, społecznym, ekonomicznym i literackim. Nader obfity dział beletrystyczny. Doborowe powieści, interesujące ilustracye aktualne.
Pismo to jako rozpowszechnione bardzo w szerokich kołach społeczeństwa nadaje się do wszelkiego rodzaju ogłoszeń i reklam.
Cena abonamentu bardzo niska, wynosi kwartalnie 3 korony (wydanie na tańszym papierze 2 K 40 h).
Adres Administracyi: Kraków, ulica Pawia l. 8. II piętro.

Z HYGIENICZNYCH TUTEK
KOSMOS
NAJZNAKOMITSZE PAPIEROSY.
WYRÓB St. WOLSZYNSKIEGO-KRAKÓW.

Księgarnia G. Gebethnera i Sp. w Krakowie
posiada na głównym składzie
PIEŚNI POLSKIE
zebrane przez K. BARTOSZEWICZA, (wydanie czwarte).
Jest to najlepszy zbiór pieśni i utworów patryotycznych.
Cena egzemplarza w oprawie 2 korony.

TYGODNIK NARODOWY
ILUSTROWANY
najtańsze i najobfitsze pismo ilustrowane dla rodzin polskich w Galicyi
wychodzi od 1-go stycznia w Krakowie. — Co niedzielę bogato ilustrowany zeszyt, objętości 32 stron w kolorowej okładce zawiera:
Artykuły narodowe i historyczne Powieści (rocznie 20 tomów 10 arkuszowych). Humorystykę. Poezyę. Nowele. Artykuły popularno-naukowe. Hygienę. Dział kobiecy. Dział: »Dla naszych dziatek«
„Tygodnik Narodowy" w stosownych artykułach i korespondencyach informuje o życiu i pracy Polaków wszystkich trzech zaborów i bliższej i dalszej obczyzny.
„Tygodnik Narodowy" ma wybitnych współpracowników, tak w Europie, jak w Ameryce
Przedpłata: wynosi rocznie (52 numery) 9 kor., półrocznie (26 numerów) 4 kor. 80 hal., kwartalnie (13 numerów) 2 kor. 40 hal.
Przedpłatę przesyłać należy przekazem do
Administracyi „Tygodnika Narodowego" w Krakowie, ul. Wiślna 2 (róg Rynku).

PIECZĘCIE KAUCZUKOWE I DRUKARNIE DOMOWE
najszybciej i najtaniej
FIERWSZORZĘDNA NAJSTARSZA KRAJOWA FABRYKA
PIECZĘCI KAUCZUKOWYCH
drukarn domowych oraz tablic emaliowanych i metal.
ALEKS. FISCHHAB
KRAKÓW, GRODZKA L. 50.

JAKÓB BETTER
KRAKÓW, UL. ŚW. JANA — TELEFON 515
poleca
wyroby betonowe i wszelkie materyały budowlane po cenach fabrycznych

Wynalazek i fabrykat francuski!
PATHÉFONY
są to niezrównane instrumenty grające kulką szafirową nie zdzierającą płyt. Odpada wymiana igły. Dlatego jedyne do tańca. Płyty nieskończenie trwałe, nawet po 1000 użyciu nie wydają chrapliwych dźwięków. Reprodukcye muzyki i głosu niezwykle czyste, o naturalnej barwie i sile. Opera, Koncert, Kabaret w domu. Wspaniałe nowe zdjęcia polskie: Bandrowski, Korolewicz, Zielony Balonik i t. d.
STEFAN GRUDZIŃSKI i TADEUSZ BERGER
Telefon 305. Kraków, Szewska 10. Czek 94.564.
Wszelkie naprawy. Przeróbki gramofonów na system Pathé.
Cenniki i objaśnienia darmo i opłatnie.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.